

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

WEŹ DO DOMU
I POCZYTAJ
W SPOKOJU

ISSN 2450-9655 nr 60 WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 2025

Wrocław life

**KUCHNIA
PO WROCŁAWSKU**

**DRONY
Z AKADEMIIKA**

**PO CO NAM
OSIEDLA?**





Magia Bałtyku

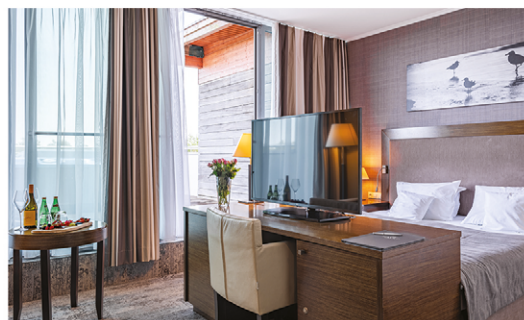
Magia Chwili

Poczuj kojącą moc natury

Dźwierzyno to kameralna i wyjątkowa miejscowość turystyczna położona niedaleko Kołobrzegu, pomiędzy Morzem Bałtyckim a jeziorem Resko, zaledwie godzinę drogi od lotniska Szczecin Goleniów. Przyciąga miłośników sportów wodnych oraz turystów poszukujących niekonwencjonalnych, atrakcyjnych form wypoczynku nad morzem.

Tutejsza plaża uważana jest za jedną z najpiękniejszych i najczystszych na polskim wybrzeżu. To małe, urokliwe miasteczko, kryje też w sobie prawdziwą perelkę - HAVET Hotel Resort & Spa*****.

Hotel położony jest tuż przy wydmie, gdzie aromaty sosnowego lasu mieszają się z morską bryzą, sprzyjając wyciszeniu i zapewniając zupełnie nowy wymiar relaksu. Zarówno podczas rodzinnego wypoczynku,



romantycznego weekendu tylko we dwoje oraz spontanicznego wyjazdu z grupą przyjaciół. Niezależnie od celu wizyty nad morzem, HAVET Hotel spełnia wszystkie oczekiwania. Długie spacery brzegiem morza, zapierające dech w piersi zachody słońca i bez troski czas spędzony w otoczeniu natury sprzyjają atmosferze głębokiego odpoczynku.

Komfortowy wypoczynek naszych Gości zapewniają wygodne i przestronne pokoje ulokowane na sześciu piętrach. Wśród nich dostępne są opcje z jacuzzi na tarasie i widokiem na morze, większe pokoje rodzinne oraz duże apartamenty z dwoma sypialniami i salonem. Wszystkie pokoje hotelowe posiadają balkony i oferują niezapomniane, piękne widoki na nadmorską przyrodę.

Najmłodszych Gości Hotel wita kolorowym Kids Klubem, z małą ścianką wspinaczkową, miękkimi klockami i miejscem do kreatywnej pracy. Opieka doświadczonych Animatorów oraz bogate, wesołe programy animacji zapewniają aktywny wypoczynek dzieciom w każdym wieku.

Dodatkowe atrakcje oferuje również obszerny teren hotelowy. Maluchy pobawić się mogą na placu zabaw, pod czujnym okiem rodziców korzystających z Kawiarni Biały Domek. Piaszczysta wydma zaprasza

do długich kąpieli słonecznych na wygodnych leżakach, a zewnątrz siłownia i wypożyczalnia rowerów kusi aktywnością sportową.

Odpuszczające chwile dla całej rodziny zapewnia wewnętrzny, przeszklony basen z jacuzzi, brodzikiem i hydromasażami. W strefie termalnej rozgrzać się można w jednej z saun czy łaźni lub zrelaksować w grocie solnej. W cieplejszych miesiącach, od maja do września Goście wypoczywać mogą na szerokiej, piaszczystej, zorganizowanej plaży z wypożyczalnią sprzętu, strefą dla dzieci, parasolami, ofertą Beach Baru i wieczornymi koncertami o zachodzie słońca.

Goście szukający wyjątkowej pielęgnacji odnajdą ją w stonowanych wnętrzach i kojącej atmosferze Natura Wellness & Spa.





Zeskanuj KOD QR
i odkryj więcej!



Ta oaza spokoju, to wyjątkowe miejsce, które pozwala skupić się wyłącznie na sobie. Zabiegi pielęgnacyjne wykonywane są przez specjalistów, przy użyciu najwyższej jakości produktów kosmetycznych marek high-end, co zawsze gwarantuje doskonałe efekty proponowanych zabiegów, masażu i rytuałów.

Kulinarnych smakoszy z pewnością zachwyci znakomita restauracja Magia Lubczyku, której dania tworzone są z prawdziwą pasją. Tutaj smaki dzieciństwa przybierają nowoczesne formy i zabierają Gości w inspirującą, kulinarną podróż.

Tak jak lubczyk potrafi wydobyć smaki z każdej potrawy, tak serwowane w tym wyjątkowym miejscu dania zaskakują zarówno formą, aromatem jak i kompozycją.



Wieczory całej rodzinie umili nowo otwarta Kawiarnia Leśne Szepty. To wyjątkowe miejsce powstało z myślą o komforcie inspirowanym naturą. Zaprasza do odkrywania smaków świeżo parzonej kawy oraz znieśławających koktajli, przekąsek i deserów. To wszystko w wyjątkowym otoczeniu i przy dźwiękach muzyki na żywo.



HAVET Hotel Resort & Spa ***** to:

- Przestronne pokoje z opcją widoku na morze
- Apartamenty z jacuzzi na tarasie
- Wyjątkowa lokalizacja przy plaży
- Basen z hydromasażami i brodzikiem dla dzieci
- Zorganizowana plaża z wypożyczalnią sprzętu
- Beach Bar z ofertą kulinarną
- Kids Klub i bogaty program animacji
- Restauracja Magia Lubczyku
- Nowoczesna Kawiarnia Leśne Szepty
- Natura Wellness & Spa
- Prywatna strefa Hammam
- Sauny, łaźnia i grota solna
- Strefa fitness
- Obiekt przyjazny zwierzętom
- Transfery lotniskowe
- Wypożyczalnia rowerów
- Ścieżka rowerowa tuż przy Hotelu
- Profesjonalny i pomocny personel
- Rodzinna atmosfera
- Bogate zaplecze biznesowe
- Uroczystości weselne i śluby na plaży

HAVET Hotel Resort & Spa*****

ul. Wyzwolenia 29, 78-131 Dźwirzyno,

tel. +48 94 711 36 00, e-mail: rezerwacja@havethotel.pl

havethotel.pl

Wroclife nr 60

3/2025

wrzesień–październik 2025

ISSN 2450-9655

Wroclife sp. z o.o.
ul. Kwidzińska 6e
51-416 Wrocław
wroclife.pl

Okladka

„Sufit
Społeczny”,
SKONT, 2023

fragment mu-
ralu umieszczo-
nego na suficie
przejścia pod-
ziemnego pod
placem Spo-
łecznym

fot. Marcin Sawicz



Współpraca biznesowa

artur.heliak@e.wroclife.pl

Redakcja

Małgorzata Burnecka
Artur Heliak (wydawca)
Wojciech Czerniatowicz
Kamil Rybikowski
Marcin Sawicz (rn)
Bartosz Senderek (z-ca rn)
redakcja@wroclife.pl

Korekta

Marta Zawadzka wellwritten.pl

Współpraca

Katarzyna Szakowska
Nina Sawicz

Skład, łamanie, druk

uniq.media

Redakcja nie odpowiada za
treść ogłoszeń ani nie zwraca
materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do
skręcania i adiestacji tekstów oraz
zmiany ich tytułów.

6 Kuchnia dawnego Wrocławia

Smaki sprzed lat wracają:
śledź, raki i czerwona
kapusta znów robią furorę
we wrocławskich kartach

12 Miasto, ściana, sztuka

Kiedy sztuka wychodzi na
ulice, nawet szary blok za-
czyna żyć historią ludzi.
Rozmowa ze Skontem

20 Drony z akademika

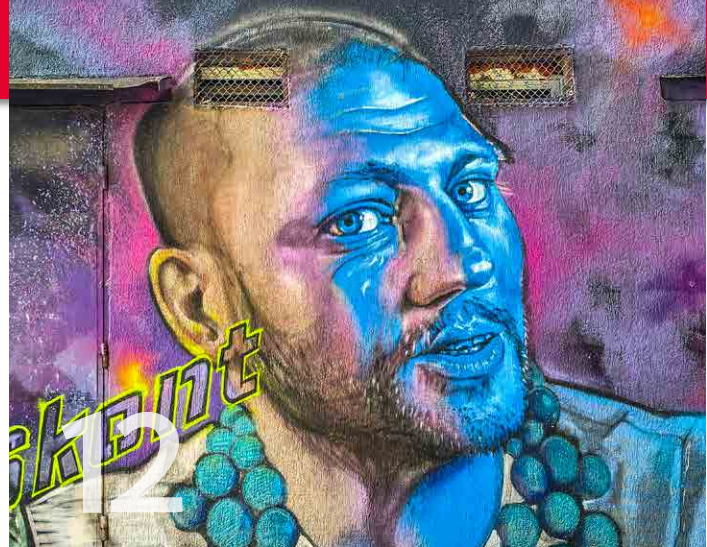
Od studenckiej pasji do firmy
z międzynarodowymi kon-
traktami — drony BZB UAS
lecą wyżej niż kiedykolwiek

24 Po co nam osiedla?

Wrocławianie chcą realnego
wpływu — pytanie tylko,
jak dać osiedlom prawdziwą
moc sprawczą?

30 Tramwaje z historią

Sentymentalna podróż
w czasie dzięki miłośnikom
zabytkowych pojazdów



36 **Street food po polsku**
Schabowy jako narodowy street food — swojsko i z dumą, po prostu niebo w gębie. Rozmowa z Michałem Czekajło i Tomaszem Hartmanem

40 **Futbol dla wszystkich**
Nowy prezes DZPN stawia na młodych, amatorów i infrastrukturę, by piłka była naprawdę dla każdego. Rozmowa z Łukaszem Czajkowskim

44 **Tour de Pologne na naszych ulicach**
Jak kolarstwo stało się wizytówką regionu, przyciągając turystów z całego świata. Rozmowa z Wojciechem Bochnakiem

47 **Co słyszać w regionie?**
Miliony dla sportowców, międzynarodowa współpraca i aktywna promocja Dolnego Śląska połączona z edukacją

48 **Złoto na trudne czasy**
Sztabki czy monety? Krótki przewodnik po bezpiecznych inwestycjach w królewski kruszec

50 **Uciec, ale dokąd?**
Klucze żurawi i odlatujące bociany przypominają, że czasem podróż to jedyny sposób na przetrwanie



CO JADANO W DAWNYM WROCŁAWIU?

Raki, śledzie, kwaśne ziemniaki, a do tego „Dumny Henryk” i Ciastko Królowej Luizy – żadna z tych nazw nie brzmi znajomo? A to właśnie regionalne tradycje kulinarne. Całkowita wymiana ludności po II wojnie światowej mocno wpłynęła na wiele aspektów życia w naszym mieście, w tym na zwyczaje żywieniowe, które dziś przypominają bardziej tradycyjną kuchnię polską czy kresową. Postanowiliśmy sprawdzić, co kiedyś jadano w stolicy Dolnego Śląska i gdzie obecnie można tu szukać smaków z przeszłości.



→

Grzegorz Sobel

Jego książka „Przy wrocławskim stole” to elementarz dla każdego, kto stara się odtworzyć kuchnię dawnego

Wrocławia

fot. Archiwum

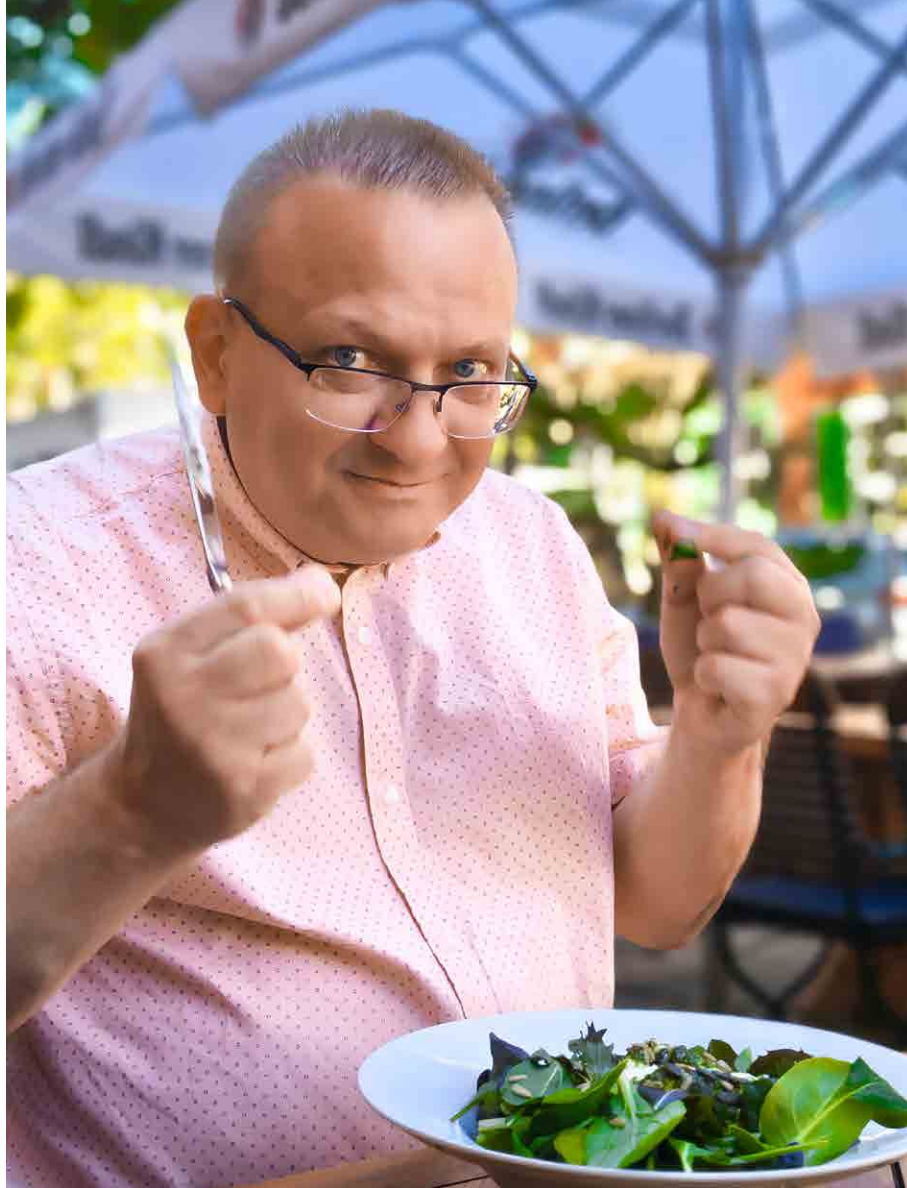
Grzegorza Sobela

Na Podlasiu zjemy babkę ziemniaczaną, a na deser kawałek sękacza, w Wielkopolsce – pyry z gziem, rejon Biłgoraja zachwyci nas pierogiem z kaszą gryczaną i twarogiem, Kociewie oryginalnie brzmiącymi ru-chankami z fjutem, a Kaszuby śledziem – a jakże – po kaszubsku. Praktycznie każdy region Polski ma swoje charakterystyczne potrawy. A co z nami?

MOZAIKA NA STOLE

Od dłuższego czasu w świecie kulinarnym trwa debata, jakie dania możemy zaliczyć do kuchni wrocławskiej lub – szerzej – dolnośląskiej. Po II wojnie światowej niemieccy mieszkańcy odeszli, przedwojenne zwyczaje kulinarne poszły w odstawkę, a w ich miejsce pojawiły się przywiezione przez osiedleńców z całej Polski, w tym zza Buga. Doskonale widać to choćby, gdy grupa znajomych z Wrocławia dyskutuje o tym, co podaje się na ich wigilijny stół. W jednym domu znajdziemy zupę grzybową i makielki, w innym barszcz czerwony oraz kutię. Są też mieszkańcy miasta, którzy nie wyobrażają sobie świąt bez zupy owocowej czy rybnej.

Powojenni przybysze nieśli ze sobą wielokulturowy „bagaż” – od smaków kresowych po przepisy z różnych regionów Polski. Do tej pory tradycje kulinarne miasta w ich powojennym i współczesnym wymiarze nie stały się obszarem szerzej zakrojonych badań, nie licząc próby jej zdefiniowania przez Barbarę Jakimowicz-Klein w książce „Kuchnia Wrocławia” – zauważa dr Grzegorz Sobel, badacz kulinarnej historii regionu, autor książki „Przy wrocławskim stole”. Wy-siedlenie niemieckiej ludności oznaczało kres trwającej od stuleci ciągłości kulturowej. W przeszłość odeszły więc bezpowrotnie także tradycje kulinarne Breslau, obecne na co dzień i od święta – dodaje.



Z CAŁEGO ŚWIATA

Po latach PRL-owskiej klasyki, śledzi po japońsku, kotletów z ziemniakami oraz różnego rodzaju klusek i pierogów lata dziewięćdziesiąte i początek nowego tysiąclecia dały możliwość spróbowania tego, co się „jada w świecie”. I tak w lokalnej gastronomii zaczęła królować pizza, do dziś święcąc triumfy, choć detronizowana już chyba przez kebaby, zaś za ciekawostki kulinarne zaczęto uważać potrawy z innych krajów

i kontynentów. Miejscowa i ogólnie polska gastronomia w ciągu ostatnich lat poczyniły wielkie postępy, a sam konsument stał się dużo bardziej świadomy, zaczął szukać nowych wrażeń – i zadawać coraz to nowe pytania, w tym o to, jak się tu dawniej jadło. Kulinar-na historia miasta jest szczególnie ciekawa; mimo że zaliczał się do Śląska, ba – funkcjonował nawet jako jego stolica, tutejsza kuchnia różniła się od tej typowo śląskiej.

←

Kuchnia wrocławska zbliżona jest do tej śląskiej, ale to, co nas wyróżnia, to częstsze użycie czerownej kapusty

fot. Restauracja

Wrocławska



Wrocław/Breslau był od dawien dawna wielokulturowy i wielonarodowościowy. Mieszkali tu i pracowali ludzie z bliższych i dalszych zakątków Starego Kontynentu – Rusini, Czesi, Żydzi, Włosi, Polacy, Francuzi, Węgrzy, Holendrzy, Szwajcarzy i Austriacy. Jeszcze przed I wojną światową dali się poznać nad Odrą Amerykanie i Japończycy. Kontakty handlowe, gospodarcze, w tym także dyplomatyczne, pozostawiały więc trwały ślad na talerzach i w codziennym menu wrocławian, podobnie jak ma to miejsce współcześnie. Także wojny odcisnęły trwałe piętno na stołach – opowiada dr Grzegorz Sobel.

ŚLEDŹ I ZBRODNIA

W historycznych zapiskach o dawnych tradycjach kulinarnych stolicy regionu ślady te znajdujemy w przepisach wykorzystujących przyprawy importowane z różnych stron świata. Nasze miasto słynęło na przykład z pachnących korzeniami pierników; podobno jadano je tu w towarzystwie... śledzi. A ryba ta też ma ważne regionalne konotacje historyczne – przewija się w wielu starych przepisach, i to w przeróżnych postaciach: solona, smażona, marynowana i pieczona, podawana jako danie główne, przystawka oraz element bardziej skomplikowanych potraw.

Słynnym sposobem przyrządzania śledzia było choćby Breslauer Häckerle, co można przetłumaczyć mniej więcej jako „wrocławski siekanie”. Próbę jego odtworzenia podjęła wyróżniona w przewodniku Michelin Restauracja Wrocławska.

Häckerle to potrawa, którą polecamy na start – tatar ze śledzia z boczkiem. Danie to znane jest też na Górnym Śląsku, ale tam podaje się je bez boczku, w wersji uboższej. Wrocław od zawsze był miastem bogatym, gdzie mięso jadało się praktycznie trzy razy dziennie i do wszystkiego, stąd taka właśnie wersja gościła w naszej lokalnej kuchni – tłumaczy Jacek Boniecki, właściciel Restauracji Wrocławskiej, który – choć inspirację na śledziową przystawkę czerpał z dawnego menu Piwnicy Świdnickiej – nie ukrywa, że fascynację historyczną kuchnią zawdzięcza także kwiecistym opisom z książek Marka Krajewskiego. Eberhard Mock miał trzy zajęcia – rozwiązywał zagadki, dobrze jadł i chodził po burdelach – śmieje się założyciel restauracji mieszczącej się przy ul. Szewskiej, czyli dokładnie tam, gdzie w Prezydium Policji (a dziś Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego) pracował książkowy komisarz.

GDZIE RAKI PŁYWAJĄ

W tej samej lokalizacji zjemy też „Śląskie Niebo” w historycznych zapiskach występujące jako Schlesisches Himmelreich. To prawdziwy wrocławski klasyk, jadany przez breslauerów między innymi na Boże Narodzenie. Podstawą tego dania jest boczek duszony w suszonych owocach (jabłko, gruszka i śliwka), podawany obowiązkowo z kluskami ziemniaczanymi.

Nieodłącznym elementem jadłospisów dawnych mieszkańców miasta były też zupy. Na ówczesnych stołach

←
Ze względu na ważną rolę rzek w życiu miasta w tutejszym menu szczególną rolę zawsze pełniły ryby i raki
fot. Stacja Breslau

Wygodny
system płatności

20%^{*}80

 Wrocław

przystanreymonta.archicom.pl

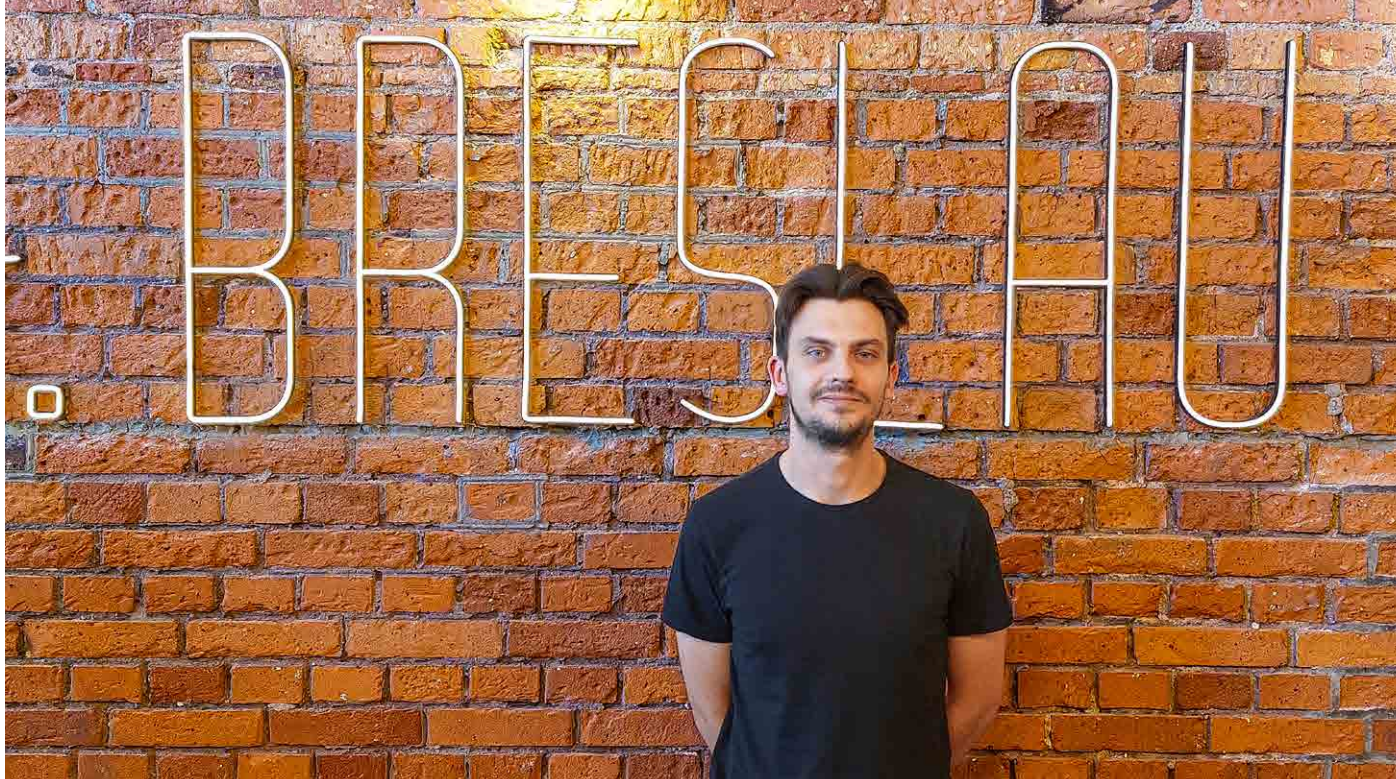
*Oferta limitowana. Dotyczy wybranych mieszkań.

 **Archicom**
ECHO GROUP

 **PRZYSTAŃ**
REYMONTA

Przy Odrze
Blisko centrum

 71 785 88 06



←

Kamil Chowaniec
szef kuchni w bistro Stacja Breslau,
chciał stworzyć miejsce, w którym spróbujemy smaków dawnego Wrocławia w przystępnej cenie
fot. Bartosz Senderek

regularnie pojawiały się kartoflanka, zupa dyniowa, soczewicowa, piwna czy gotowana na maślanie. Popularna była również rakowa. *Raki były kiedyś produktem regionalnym – występowały w rzece Oławie, a jeszcze wcześniej nawet w Odrze* – zauważa Jacek Boniecki, który w swojej restauracji odtwarza i tę potrawę.

Bisque rakowy znajdziemy też w menu bistro Stacja Breslau, od listopada ubiegłego roku działającego pod słynnym nasypem przy Bogusławskiego. Miejsce to również specjalizuje się w kuchni inspirowanej historią i z marszu wdarło się do czołówki lokalnej gastronomii, a ostatnio chwalone było przez samego Roberta Makłowicza.

Pomysł na kuchnię inspirowaną przedwojennym Wrocławiem narzucili mi już trochę założyciele restauracji. Podczas pierwszego spotkania powiedzieli, że mają taką nazwę i trzeba znaleźć pomysł na to miejsce. Po długich rozmowach

uznali, że w mieście są restauracje z kuchnią dawnych czasów, ale to lokale raczej eleganckie, a my stworzymy bistro, które pozwoli spróbować smaków retro w przystępnej cenie i luźniejszej atmosferze – opowiada nam Kamil Chowaniec, szef kuchni w Stacji Breslau.

NA KWAŚNO I NA SŁODKO

W bistro pod nasypem dawna kuchnia wrocławska zyskuje nieco bardziej nowoczesny twist. Jedną z popisowych pozycji są kwaśne ziemniaki – nawiązujące do poniemieckich Sauerkartoffeln, ale podkreślone na styl francuski.

To potrawa, która zawsze jest w naszej karcie, ale pojawia się w towarzystwie sezonowych warzyw, zmieniających się w zależności od pory roku. Danie to było popularne we Wrocławiu w czasach międzywojennych i powstawało poprzez odgrzewanie ziemniaków na patelni z cebulką, ze słoniną oraz dodatkiem kwaśnej śmietany.

U nas jest to bryndza owcza opalana, którą podajemy z ziemniakami przygotowywanymi metodą wzorowaną na francuskiej zapiekance gratin, tylko nie krojonymi w plasterki, a gniecionymi. Dzięki temu struktura warzywa wyczuwalna jest praktycznie w każdym kawałku – opowiada Kamil Chowaniec.

Ciekawostką Stacji Breslau jest z kolei Ciastko Królowej Luizy. *To deser, którego nie ma chyba w żadnych książkach, a odpowiedział mi go dr Sobel. Dopiero gdy wpisałem w wyszukiwarkę nazwę po niemiecku, znalazłem wzmiankę o nim w cukierni z Görlitz. Ciastko było przygotowywane na biszkopcie z owocami, dekorowane na górze ubitą pianką, która ma przypominać „Śnieżkę”* (według zapisów historycznych ciastko takie w 1804 roku miała polecić przygotować sama Luiza, niezadowolona z wyrobów ówczesnych cukierników – przyp. red.) – tłumaczy szef kuchni Stacji Breslau.

→

Jacek Boniecki
właściciel Restauracji Wrocławskiej, inspiracji do stworzenia menu szukał m.in. w powieściach Marka Krajewskiego
fot. Bartosz Senderek

NIE TYLKO W POZNANIU

Mówiąc o lokalnych potrawach, nie można zapominać też o takich pozycjach, jak bigos z czerwonej kapusty, pieczona kielbasa z sosem piwnym przyprawianym piernikiem zwana „Dumnym Henrykiem”, niebieski karp (który zawdzięczał swój kolor gotowaniu w occie), a także o licznych sałatkach, w tym Polnische Salat (ze śledzia z jabłkiem, kaparami i oliwą). Choć dziś z daniami takimi jak pierniki czy gęsi na Świętego Marcina kojarzą się inne polskie miasta, to na naszych ziemiach również można uważać je za regionalne. *Rogale świętomarcińskie przygotowywano nad Odrą już w połowie XVII wieku (sic!). Niech Poznań o tym pamięta* – żartuje dr Grzegorz Sobel. Nie można też nie wspomnieć o różnego rodzaju mięsach, które lądowały na tutajszych stołach. *Dominowała wieprzowina i drób, w tym dostępne dziś w restauracji Gustaw pod Bastionem Sakwowym gołąbie (sic!). Klasycznie wrocławska była dawniej pieczeń wieprzowa ze skórką – sławna Schwärstelbraten, podawana z gotowanymi kartoflami i kiszoną kapustą. Dodajmy w tym miejscu, że jeszcze z początku drugiej połowy XIX wieku panował w naszym mieście osobliwy zwyczaj wypiekania pieczeni w... piekarniach. W sobotnie przedpołudnia, gdy piekarze wyciągali z pieców ostatnie bułki, ustawiały się przed nimi panie z ciężkimi żeliwnymi kociołkami, z których „wyziewał” aromat marynowanych mięs* – wspomina historyk.

KMINEK NA ŻOŁĄDEK

Nasze miasto może się poszczycić także tradycyjnymi napitkami, z których najważniejsze to piwo Schöps, warzone od około 1550 roku i przywrócone do życia przez Browar Stu Mostów z ul. Długosza. Przedwojenny Wrocław stał też



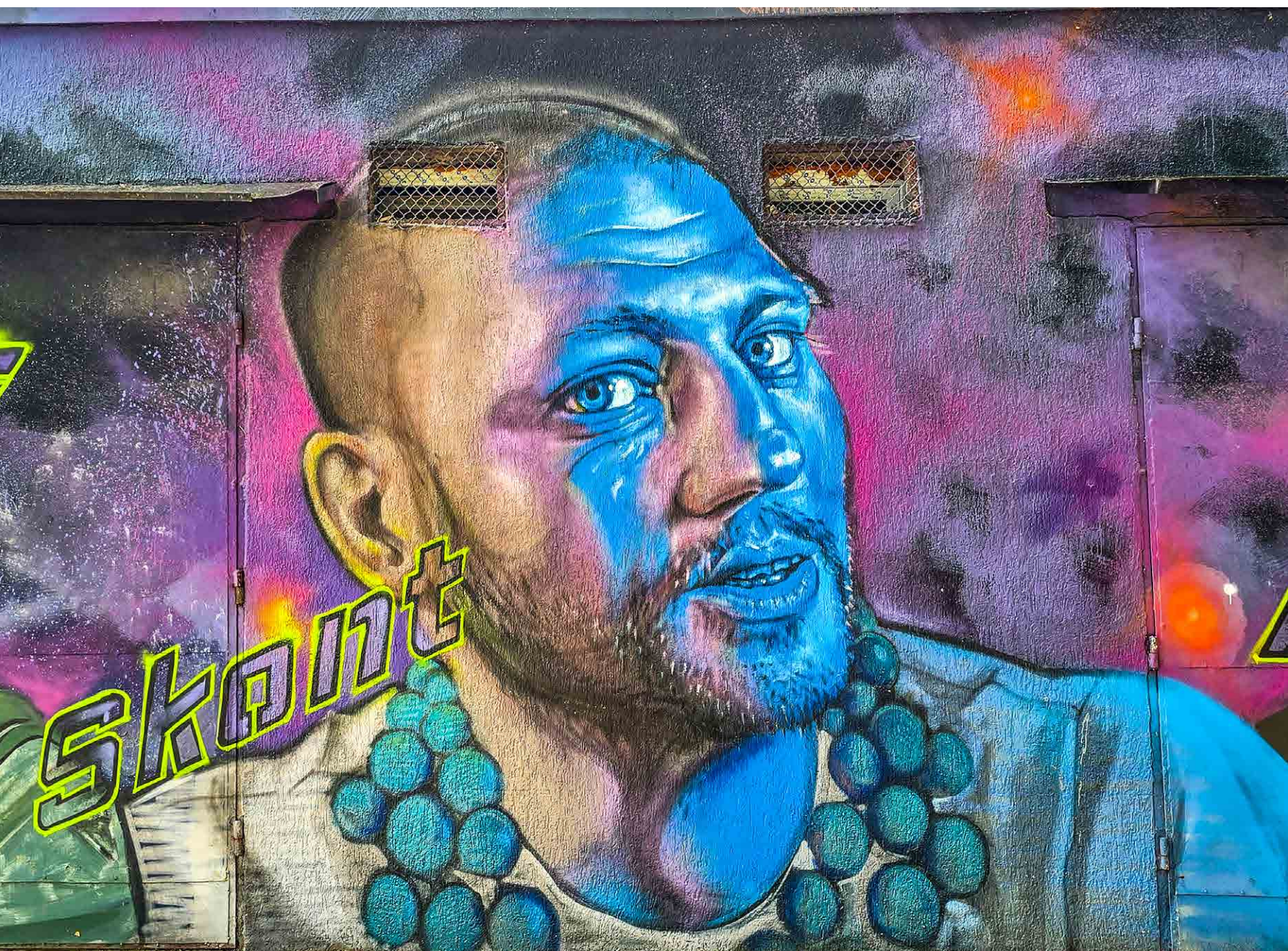
różnorodnymi nalewkami. *Chyba najslynniejszą jest ta na kminku. Pierwsze zapisy pochodzą z 1762 roku, czyli z czasów koronacji carycy Katarzyny. Cesarz pruski Fryderyk Wilhelm II wręczył jej sporą ilość tego trunku w prezencie koronacyjnym – władczyni miała problemy żołądkowe, a kminkówka wrocławska była w tamtych czasach uznawana na dworach królewskich za dobry środek na bóle żołądka i na trawienie* – opowiada Jacek Boniecki, który na potrzeby swojej restauracji odtworzył Breslauer Kümmel.

Choć kuchnia dawnego Wrocławia na razie nie przebija się do mainstreamu, ma coraz większą rzeszę fanów. Lokale serwujące dania nawiązujące do historycznego dziedzictwa ziem Dolnego Śląska cieszą się popularnością zarówno wśród mieszkańców zainteresowanych swoim regionem, jak i turystów, którzy nie tylko szukają tutaj polskiego dziedzictwa historycznego, ale też zastanawiają się nad odległą przeszłością miasta.

Bartosz Senderek

MIASTO, ŚCIANA, SZTUKA

Skont to obecnie jeden z najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli street artu we Wrocławiu. Jego charakterystyczne prace znajdziemy w różnych miejscach: w przejściu podziemnym pod placem Społecznym, obok targowiska na Radosnej czy na Brochowie. Łatwo je rozpoznać dzięki intensywnym kolorom i spoglądającym na nas twarzom, z których większość to prawdziwi mieszkańcy naszego miasta.



→

Skąd jest Skont?

■ Psie Pole, a konkretnie Zakrzów, do dzisiaj można tam zobaczyć kilka mocnych i ważnych dla mnie prac. W ekipie osiedlowej LN Group od zawsze byłem malarzem. W sztuce mogłem pokazywać swoją tożsamość i odnajdywałem przynależność do miejsca i społeczności.

Jak się zaczęła twoja przygoda?

■ W środowisku wrocławskiego street artu jestem już od ponad 20 lat i stowię jego integralną część. Wszystko zaczęło się w latach dziewięćdziesiątych na Biskupinie, kiedy jako młody chłopak zobaczyłem pierwszych malarzy z DOP Crew, którzy do dziś są moimi idolami. Sam w domu trochę rysowałem, więc po jakimś czasie postanowiliśmy z chłopakami spróbować i „zrobiliśmy” jedną, potem drugą ścianę – i jakoś tak to poszło. Do dziś uważam, że graffiti jest integralną, a wręcz podstawową częścią sztuki ulicy. To coś, co powstaje oddolnie, nie ma żadnych narzuconych ram, pozwala artyście wyrazić się dokładnie tak, jak chce. To szczególnie ważne dla młodzieży, która pragnie w jakiś sposób pokazać swój indywidualny punkt widzenia. Cały street art wyewoluował z graffiti. Obie sztuki dają możliwość pokazania świata, że istnieje – do tego nie potrzeba kursów czy uczelni. Tworzysz to, co bliskie sercu.

Ale ty studia masz, i to kierunkowe.

■ Tak, skończyłem wrocławską Akademię Sztuk Pięknych, ale zrobiłem to dopiero 5 lat temu – można powiedzieć, że na późniejszym etapie mojej twórczości. W pewnym momencie stwierdziłem, że mam już skończone 30 lat i może fajnie byłoby się na tę akademię jeszcze raz spróbować dostać. Udało się, spędziłem tam 6 lat. To było świetne doświadczenie i cieszę się, że poszedłem na studia



jako wprawiony, prawie już dojrzały facet. Na malarstwie poznałem świetnych ludzi, w tym profesorów Janusza Jaroszewskiego i Pawła Jarodzkiego, którzy są moimi mentorami, i sporo cennych rzeczy się tam nauczyłem – to na pewno nie był zmarnowany czas.

Co poza malowaniem robiłeś zawodowo?

■ Próbowałem różnych zajęć, na przykład na budowie, ale niczego na stałe. Zawsze wiedziałem, że chcę iść w sztukę, bo tylko to naprawdę czuję. Mama dała mi wolną rękę i radziła, żebym

robił to, z czym jest mi dobrze – i taką drogą idę przez życie. Bywa ciężko, bo w Polsce zawód artysty wciąż nie został do końca uregulowany. Można założyć działalność gospodarczą, ale to wiąże się z konkretnymi obciążeniami i sztuką z musu może zamienić się w biznes, bo zamiast myśleć, co chcesz stworzyć, musisz się zastanawiać, z czego zapłacić podatki. Ja wybrałem drugą opcję, czyli życie od umowy o dzieło do umowy o dzieło. Wiąże się to z tym, że nie mam ubezpieczenia, nie odprowadzam składek na emeryturę. Żyję życiem wilka – co upoluję, to mam (śmiech).

←

SKONT

Zakrzów, 2019

„Autoportret, który jest częścią większej pracy pt. Ostatnia wieczerza, przedstawia ona sylwetki moich kumpli z Zakrzowa. Tym dziełem chciałem pokazać nas jako ludzi dojrzałych, ale pamiętających o swoich korzeniach”
fot. Marcin Sawicz

←

Portret Brochowa

Brochów, 2024

„Jedna z dwóch ścian
bloku socjalnego przy
ul. Koreańskiej.

Od lewej góry: Piotr,
Monika, Paweł,
Łukasz, Maku, Pani
Wiesia, Andrzej,
Wojtek”

fot. Marcin Sawicz



Warto się poświęcać dla sztuki?

☛ Zdecydowanie – gdyby nie ona, prawdopodobnie byśmy dzisiaj nie rozmawiali. Jestem alkoholikiem, ale nie piję i nie zażywam narkotyków już od ośmiu lat. Oczywiście pomogła mi w tym terapia, ale siłę do życia i podniesienia się zawdzięczam przede wszystkim właśnie malowaniu oraz ludziom, którzy mi pomogli. Poza tym uważam, że kultura i sztuka tworzą społeczeństwo, a potem pozwalają podtrzymać pamięć o nas i naszą historię.

Jak u ciebie wygląda proces tworzenia murali?

☛ Zasada jest prosta: widzę ścianę stojącą ugięciem – zniszczoną, porzuconą, wyglądającą zwyczajnie źle – i tworzę na niej dzieło. Taka ściana często do kogoś należy, ale biorę to na swoje barki, bo uważam, że artyści powinni wzbogacać świat. Dużo dzieł stworzyłem

właśnie w ten sposób. Są to oczywiście mniejsze realizacje, bo wiadomo, że z dnia na dzień nie przyjdę i nie pomaluję całej ściany dużego budynku, aczkolwiek chciałbym, żeby w przyszłości było mnie i na to stać. Większe projekty to najczęściej różnego rodzaju współpracy, granty i zamówienia.

Gdy namalujesz coś na „ścianie, która do kogoś należy”, nie masz z tego powodu nieprzyjemności?

☛ Ludzie wiedzą, o co chodzi. Staram się pracować tylko tam, gdzie, gdy skończę, będzie lepiej, niż było. Zawsze kieruję się myślą, żeby nie szkodzić, tylko przemieniać brzydkie w ładne. Zdarzały się sytuacje, że musiałem się tłumaczyć, ale ludzie raczej czują, że moralnie i dla świata to jest w porządku. Częściej spotykam się z postawami, że dane osoby są zadowolone i mi pomagają, niż mają pretensje.

Jedna z twoich prac wywierająca naprawdę silne wrażenie to mural na Brochowie, przedstawiający mieszkańców osiedla. Opowiesz jego historię?

☛ Miło, że o tym wspominasz, bo to praca, z której jestem bardzo dumny. Projekt był zrealizowany we współpracy z Fundacją Art Transparent, organizującą we Wrocławiu przegląd sztuki Survival Art. Szukali pomysłu na realizację artystyczną na Brochowie, a ja mam świąra na punkcie ścian, we Wrocławiu znam je wszystkie, a tę konkretną miałem upatrzoną już od dawna. Ten blok wydawał mi się jakiś taki szary, więc od razu rozpisałem pomysł i się zgłosiłem.

Od początku myślałem, że fajnie byłoby namalować tam tych ludzi. Mówimy o bloku socjalnym, zamieszkiwanym przez mieszkankę totalnie różnych osób. Jednym życie ułożyło się lepiej, drugiem gorzej – są tam tacy, którzy ciężko

→

Aleja Filarów
Psie Pole, 2011
„Jedna z moich pierwszych, odważnych serii portretowych. Przedstawia ziomków i przyjaciół z osiedla. Czasy bez troski i melanżu. Malowałem farbami ze śmietnika i tym, co było, jednak dzięki zadaszeniu wciąż istnieje”
fot. Marcin Sawicz





←

Sufit Społeczny

pl. Społeczny, 2023
„Chciałem pomalować cały sufit w przejściu podziemnym, jednak w trakcie prac stwierdziłem, że jest on trochę za niski, przez co trudno się tą pracą ogląda. Z malowaniem sufitów mam jeszcze poważne plany na przyszłość”
 fot. Marcin Sawicz

→

Na Targu

Bazar Komandor, 2025

„Praca, którą stworzyłem na zamówienie ARAW z okazji uroczystego otwarcia wrocławskich targowisk na sezon 2025. Chciałem pokazać urok tradycyjnych targowisk. Przypomnieć niepowtarzalny klimat takich miejsc, o który warto dbać, i że warto kupować produkty od lokalsów, a nie wozić się po galeriach handlowych, nabijając kieszeń korporacjom”
 fot. Marcin Sawicz

pracowali, ale zostali z niczym, są ludzie nie będący w stanie nabyć własnego mieszkania, ale chcący żyć normalnie, i ci, którym uzależnienie zniszczyło wszystko. To ciekawe, że tak różne osoby, trochę ryzykownie, zostały upakowane w jednym miejscu. Podobnie jak niektórych malarzy klasycznych (jak van Gogha) zawsze fascynowało mnie piękno płynące z trudu życia. Tym murałem chciałem im dać coś od siebie – żeby poczuli, że sztuka jest też dla nich. Myślę, że nie tylko poprawiłem estetycznie ich szary blok, ale wniosłem również coś dla zwykłego, konkretnego człowieka.

Jak zareagowali na pomysł, że namalujesz ich na domu, w którym mieszkają?

☛ To był proces, bo z początku zetknąłem się ze sporą nieufnością. Wiadomo, przychodzi jakiś obcy typ z telefonem,

coś fotografuje, pyta o różne rzeczy – nie ma się co dziwić. Spędziłem z tymi ludźmi bardzo dużo czasu, rozmawiałem z nimi, siedzieliśmy sobie razem, szkicowałem ich wizerunki. Ostatecznie niektórzy zgodzili się, by pojawić się na muralu, inni nie. Powstało tam 30 portretów na dwóch ścianach o łącznej powierzchni 400 metrów kwadratowych. To było coś, co zrobiłem od siebie, od serca – coś, o co chodzi w sztuce.

Z czego jeszcze jesteś dumny?

☛ Zawsze z portretów, bo mam świadomość, że takim dziełem opowiadam czyjąś historię, a nie tylko tworzę ładny obrazek. W ten sposób mogę docenić ludzi, których poznałem i którzy mają dla mnie znaczenie. To mój sposób na pokazanie moich emocji i podkreślenie więzów międzyludzkich. Jednym z najważniejszych dla mnie projektów jest

seria ośmiu dużych portretów na filarach pod wiaduktem na Zakrzowie – przedstawiłem na nich moich przyjaciół. Później, gdy wyprowadzałem się z rodzinnego osiedla, zrobiłem „ostatnią wieczerzę” – bardzo kolorowy wspólny portret. Stworzyłem go, widząc, jak bardzo się zmieniliśmy po trzydziestce.

Po czym można poznać, że mural jest dobry?

☛ Nie da się tego zdefiniować – to tak, jakby spytać, po czym poznać dobre dzieło malarskie w ogóle. Istnieje wiele czynników. Sama forma podlega tym samym kryteriom co obraz, czyli patrzymy na temat, kolor, a przy muralu mamy jeszcze osadzenie w przestrzeni. Ale ocena zależy też od indywidualnego gustu. W obecnych czasach w zasadzie wszystko jest dozwolone. Z jednej

strony mi się to podoba, ale z drugiej się w tym gubię (myślę, że jak większość z nas). Trudno o jednoznaczną ocenę. Sam kiedyś uważałem niektóre prace za „biedne”, a dzisiaj mogę powiedzieć, że się myliłem, bo mają w sobie coś, do czego musiałem dojrzeć, a inne, kiedyś wysoko przeze mnie oceniane, dziś wydają mi się infantylne.

Moim zdaniem najlepsze murale to po prostu obrazy, które nie promują ukrytych treści, nie próbują niczego reklamować, są dziełami w naturalny sposób tworzonymi przez artystę dla odbiorców. Ludzie też to czują. Nie trzeba być znawcą sztuki, żeby intuicyjnie odbierać dobry mural. Ale warto mieć w sobie otwartość na coś nowego. Powiedzmy stop dziaderstwu!

Zdarza Ci się robić projekty komercyjne?

☛ Tak – ale tylko na tematy odpowiadające mojemu światopoglądowi. Staram się nie malować reklam, nie występować na eventach, gdzie sztuka jest tylko dodatkiem mającym na celu przyciągnięcie klientów, którzy kupią piwo czy hot dogi.

Ale ciekawe, niebanalne projekty, pozwalające mi zarobić pieniądze na dalszą twórczość – jak najbardziej. Na przykład teraz przygotowuję serię obrazów, które zawisną na ścianach Elite Health Institute w Domasławiu – uważam, że to jest dobre, gdyż sam uprawiam sport i cieszę się, że moja twórczość przyczyni się do promowania zdrowego stylu życia.

Czy masz poczucie, że artyści street artowi są traktowani gorzej niż klasyczni, którym organizuje się wystawy?

☛ Wręcz przeciwnie – myślę, że to tamci mogą patrzeć na nas z nutką zazdrości. Mamy taki rodzaj wolności, jakiego oni nie mają. Na Zachodzie już od dawna są wernisaże artystów postgraffiti, w Warszawie też już takie wydarzenia się odbywały. Ja sam nie widzę potrzeby organizacji swojej wystawy – może nie jestem jeszcze na tym etapie dojrzałości (albo odwagi). W street artcie robisz dzieło i znikasz, a dopiero potem się okazuje, czy ktoś zwraca na nie uwagę, czy nie. Odbiór sztuki się zmienia. Tysiąc lat temu artysta był rzemieślnikiem i w ogóle nie podpisywał się pod





Mural Filmowy

Huby, 2016
„Himilbsbach i Maklak – fragment muralu, który namalowałem, mieszkając na wrocławskich Hubach. W pracy ukazałem 24 postacie filmowe i artystyczne, ale również z mojego życia prywatnego (mama, tato, przyjaciele) na taśmie filmowej. Kiedy tworzyłem tę pracę, ściana należała do Elektromechanicznej Spółdzielni Inwalidów we Wrocławiu ELWAT. Obecnie na tym terenie spółka Dom Development wybudowała bloki, a w porozumieniu ze mną mural zostanie zrewitalizowany na kolejne lata”

fol. Marcin Sawicz

dziełem, potem stał się indywidualnością, a jeszcze później zaczęto organizować wystawy. Teraz jest ulica.

Nigdy nie chciałeś zostać artystą klasycznym?

— Powoli zaczynam dojrzywać do tworzenia obrazów na płótnie i papierze – mam już na swoim koncie pierwsze pejzaże. To dalej jest trochę taki street art, bo nie maluję w domu, tylko biorę sprzęt i idę na zewnątrz, często bardzo spontanicznie. Naprawdę lubię być w terenie. To jest żywe, żywiołowe – i z tego, że to się dzieje tu i teraz, czerpię energię. Nie lubię za dużo planować i kalkulować.

Czy teraz łatwiej jest wejść do świata street artu niż w latach dziewięćdziesiątych?

— Mamy świetny czas dla młodych artystów. Ta forma sztuki stała się modna i bardziej doceniana, choć nadal brakuje przestrzeni dla tych, którzy chcieliby malować. Część z nich będzie robić to po nocach, ale jest masa ludzi – ja też do nich należę – pragnących stworzyć coś fajnego w dzień. W Warszawie część wiaduktów oddano artystom – wisi tabliczka, każdy może przyjść i zrobić coś swojego. We Wrocławiu kiedyś były takie inicjatywy – na przykład filary na placu Społecznym, był też festiwal Graffiti Non Stop organizowany

przez grupę Kolektyf. Jednak w ostatnich latach wszystko to w naszym mieście wyhamowało, a szkoda, bo na świecie sztuka ulicy bardzo ewoluuje. Stała się trochę jak hip-hop – obecnie najbardziej popularna i opłacalna muzyka na świecie. Może w street artcie nie ma aż takich pieniędzy, ale jego popularność jest naprawdę duża. To sztuka dla każdego. Żeby pójść do galerii, trzeba mieć doświadczenie, obycie, wiedzieć, jak patrzeć, poznać artystę, którego się będzie oglądało. W street artcie nie ma takiej konieczności – jest dużo bardziej dostępny bez warunków wstępnych.

Rozmawiał: **Bartosz Senderek**

Executive MBA

Z nami wejdiesz na szczyt!

- ✓ najlepszy program MBA w zachodnio-południowej Polsce, znajdujący się w 2% najlepszych programów na świecie
- ✓ moduł Swiss Gateway to International Business realizowany na Uniwersytecie Neuchâtel w Szwajcarii
- ✓ indywidualne ścieżki rozwoju - coaching, mentoring, wsparcie karier, WINGS, inQube, Stowarzyszenie Absolwentów



emba.uew.pl

mba@ue.wroc.pl

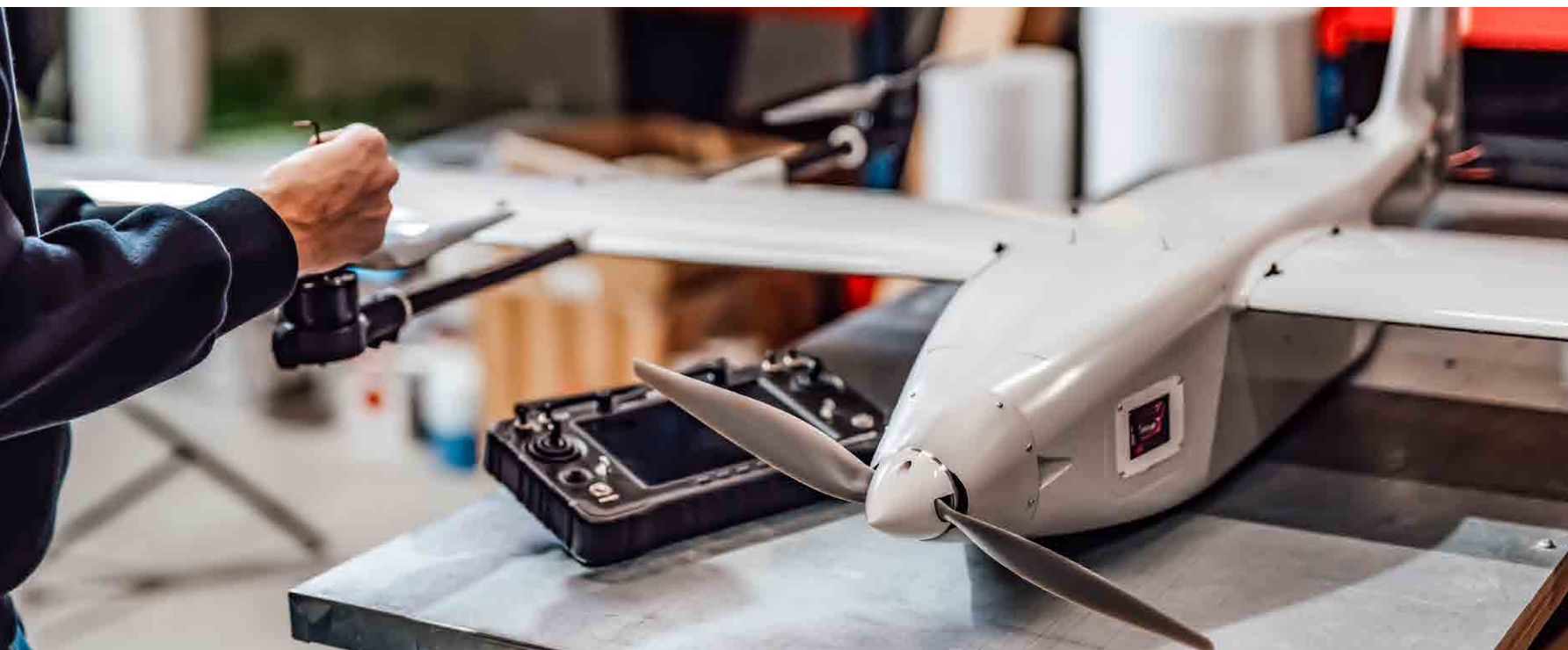


Aplikuj teraz



LOTNICZY START-UP, KTÓRY „WYLECIAŁ” Z AKADEMII

Zaczął się od pasji i konstruowania dronów na studiach. Potem plany próbowały pokrzyżować pandemia i księżowość. Założyciele wszystko to przetrwali i dziś start-up BZB UAS jest jedną z najdynamiczniej rozwijających się firm z branży lotniczej we Wrocławiu. Spółka zatrudnia obecnie kilkadziesiąt osób, a z jej produktów i usług korzystają czołowe polskie przedsiębiorstwa oraz instytucje państwowe i samorządowe.



Kacper Budnik i Jan Byrtek to absolwenci Politechniki Wrocławskiej, o których regularnie można było przeczytać w artykułach z cyklu „sukces wrocławskich konstruktorów”. Założyciele firmy podczas studiów wstąpili do Akademickiego Klubu Lotniczego (AKL) na PWi i brali udział w budowaniu małych statków powietrznych, z którymi reprezentowali uczelnię na międzynarodowych zawodach.

MAGIA PRZYPADKU

Z Janem poznaliśmy się na pierwszym roku mechatroniki, trochę przez przypadek – byliśmy razem w grupie na rysunku technicznym. Studentów rozdzielano do grup alfabetycznie, a obaj mamy nazwiska na literę B. Janek już w podstawówce budował pierwsze modele samolotów zaopatrzone w silniczki z napędów CD-ROM. Zdarzało się, że cały rok wycinał drewniane żeberka

i konstruował mały samolot – tylko po to, żeby raz poleciał i się rozbił. Marzeniem Janka było zostać pilotem samolotów, ale zdrowie mu na to nie pozwoliło, więc postanowił studiować na Politechnice Wrocławskiej, gdzie się spotkaliśmy. Do bliższego poznania doszło podczas wspólnego wyjazdu na narty i snowboard – wspomina Kacper Budnik, dziś prezes jednej z bardziej rozpoznawalnych polskich firm zajmujących

↑
Założyciele firmy już w czasie studiów konstruowali bezzałogowe samoloty startujące w zawodach studenckich. Dziś z ich rozwiązań korzystają czołowe polskie przedsiębiorstwa
fot. BZB UAS

→
Kacper Budnik i Jan
Byrtek poznali się na
pierwszym roku stu-
diów na Politechnice
Wrocławskiej
fot. BZB UAS

się produkcją dronów i obsługą bezzałogowych misji lotniczych. *Jan od początku działał w AKL i mnie też do tego namawiał. Pierwotnie nie chciałem, bo wiązałem swoją przyszłość z branżą automotive, a nie lotniczą. To była moja pasja – przez jakiś czas pracowałem jako stażysta w fabryce BMW w Bawarii, żeby poznać ten fach. Jednak Janek mnie przekonał, wskazał mi książki, a z nich nauczyłem się o silnikach lotniczych, które wykorzystywaliśmy na kole naukowym, zgłębiłem temat wytwarzania kompozytów. Wspólną pracą w wolnym czasie i wytrwałością doprowadziliśmy do tego, że budowaliśmy najlepsze samoloty na świecie, zdobywaliśmy medale na zawodach w USA, Australii i innych krajach – wskazuje Budnik.*

Biznesowym przełomem dla studentów-konstruktorów był wyjazd do Australii, gdzie usłyszeli pytanie: Skoro jesteście tacy dobrzy, dlaczego robicie to dla uczelni, a nie na własny rachunek? Rozpoczęli zatem prace nad projektem, który po latach okazał się hitem wrocławskiej sceny start-upowej.

BIZNES W AKADEMIKU

Pierwsze projekty powstawały w domu studenckim, bo biuro zaproponowane konstruktorom w ramach pomocy początkującym przedsiębiorcom nie spełniało ich oczekiwań. *Byliśmy tam tylko raz i stwierdziliśmy, że to miejsce nie nadaje się do pracy* – wspomina Budnik. Młodzi biznesmeni wynajęli od akademików PWr na początek jedno małe pomieszczenie, chwilę później drugie, a potem trzecie, trochę większe. *No i nagle przyszła pandemia – nakazano nam opuścić akademik z dnia na dzień, ponieważ został on przekształcony w izolatorium dla osób z podejrzeniem COVID-19* – wspomina Kacper. O poddaniu się jednak nie było mowy.



Działalność kontynuowali w swoich pokojach w Domu Doktoranta przy Curie-Skłodowskiej. *W dzień pracowaliśmy, a w nocy spaliliśmy w tych samych pomieszczeniach. Czasami zdarzało się tak, że ja odsypiałem, a obok mnie siedział przy komputerze nasz pracownik przetwarzający dane zebrane z dronów* – dodaje. Podczas pracy w akademiku firma realizowała już pierwsze zlecenie dla Lasów Państwowych, w ramach którego drony BZB UAS w miesiąc wykonały inwentaryzację około 240 tysięcy hektarów lasów; tradycyjnymi metodami zajęłaby ona dwa-trzy lata.

TE PRZEKŁĘTE PIENIĄDZE

Początki nie były łatwe nie tylko pod względem lokalowym, ale przede wszystkim finansowo. Pierwszy sprzedany samolot konstruktorzy zrobili za własne pieniądze, a zysk okazał się niewielki – na tyle mały, że nie wystarczył nawet na pokrycie podatku dochodowego, który początkujący biznesmeni zapomnieli w kalkulować w projekt. *Robiliśmy samoloty, a na księgowości znaleźliśmy się tak sobie. Nie wiedzieliśmy, że części trzeba kupować na firmę, żeby odpisać koszty* – wspomina współzałożyciel.

Choć spółka istniała od 2017 roku, prezesi pierwsze wynagrodzenia wypłacili sobie dopiero w 2020 roku. *Przez*

pierwsze trzy lata dorabialiśmy w różny sposób: jako kelnerzy, rąbiąc drewno za pieniądze, budując drewniane domki dla dzieci czy szkoląc z latania dronami u konkurencji. Wszystko po to, żeby utrzymać firmę i móc pracować nad naszymi pomysłami. Realizowaliśmy w międzyczasie jeszcze projekt unijny. Dostawaliśmy z niego minimalną krajową, ale praktycznie nas położył, bo musieliśmy zainwestować pieniądze, które dopiero później nam zwracano. Zapożyczyliśmy się w firmach chwilówkowych, ale okazało się, że obiecane zwroty z projektu dostaliśmy długo po deklarowanym terminie, bo przez półtora roku nie było specjalisty, który mógłby go ocenić. A odsetki rosły – opowiada Budnik.

Tylko zawziętość i upór motywowane pasją pozwoliły im przetrwać trudne czasy. Obecnie firma z dwuosobowego start-upu rozwinęła się do przedsiębiorstwa zatrudniającego około 50 pracowników i korzystającego z usług jednego z zakładów produkcyjnych pod Wrocławiem, gdzie zleca wytwarzanie wybranych elementów.

NIKT NIE JEST SAMOTNĄ WYSPĄ

Przedsiębiorstwo nie tylko produkuje drony i samoloty, ale też oferuje usługi z ich użyciem. Inne podmioty nie muszą



kupować sprzętu i szkolić do obsługi swoich ludzi – mogą skorzystać z pomocy firmy BZB UAS, która poza mobilnymi ekipami z dronami dysponuje centrum przy ul. Międzyzleskiej, gdzie w sezonie przetwarza się około dwóch terabajtów surowych danych dziennie.

Prywatna branża lotnicza to dziedzina wymagająca i wrażliwa na zmiany polityczne i społeczne. *Rynek jest bardzo dynamiczny i zmienia się nawet nie z roku na rok, ale z miesiąca na miesiąc. Wpływają na niego światowe wydarzenia – od wojny w Ukrainie, przez wojnę celną, po chińskie embarga na nasz kraj. Nawet rekonstrukcja rządu w Polsce ma znaczenie – likwidacja Ministerstwa Rozwoju i Technologii spowodowała problemy z pozyskaniem opinii na temat możliwości sprzedaży jednego z naszych produktów za granicę. Czekamy na nią już dwa miesiące, a towar leży w magazynie – mówi Kacper Budnik. Odczuliśmy nawet zmianę rządu po wyborach w październiku 2023 roku. Od zawsze byliśmy apolityczni – uważamy, że nauka i technologia zawsze się obronią, a my dostarczamy sprzęt każdemu zainteresowanemu, bo chcemy, żeby Polska się rozwijała. Sądziliśmy, że polityka nie odgrywa tu żadnej roli, ale niestety zmiany w spółkach Skarbu Państwa*

poskutkowały spadkiem liczby zamówień. Na szczęście część z nich powoli do nas wraca, bo zarządzający zrozumieli, że możemy zapewnić im to, czego nikt inny nie jest im w stanie w takim tempie dostarczyć – wyjaśnia.

Wrocławski start-up stawia na model długofalowej współpracy i budowania wzajemnego zaufania. *Dbamy o to, żeby utrzymywać dobre relacje z klientami. Najważniejszy jest marketing szeptany. Chcemy podchodzić do każdego odbiorcy indywidualnie, by czuł się u nas jak najbardziej luksusowo, miał świadomość, że ekspresowo i dynamicznie rozwiązujemy jego problemy i zaspokajamy potrzeby. Kontrahenci to doceniają i zostają z nami na lata. Klient, z którym współpracujemy najdłużej, przyszedł do nas cztery miesiące po starcie firmy i do dziś korzysta z naszych usług i zamawia u nas sprzęt – zauważa Budnik.*

DRONY DLA SŁUŻB, DRONY DLA MAS

Spółka produkuje latające roboty zarówno dla prywatnych odbiorców, jak i różnego rodzaju służb. Jej konstrukcje służą między innymi straży miejskiej do kontrolowania składu dymu z kominów domów, których właściciele nie przestrzegają ustawy antysmogowej;

wspomagają też różnego rodzaju jednostki ratowniczo-poszukiwawcze i instytuty badawcze.

Firma organizuje również szkolenia oraz stawia na edukację już od najmłodszych lat. Jednym z jej produktów jest zestaw FPV-EDU – mikroskopijny i bardzo lekki dron do nauki sterowania. Korzystają z niego między innymi uczniowie wrocławskich szkół ponadpodstawowych, którzy w ramach współpracy mogą zaprosić przedstawicieli start-upu na lekcje informatyki lub zajęcia kół zainteresowań. BZB UAS jest też organizatorem zawodów dronowych w klasztorze cystersów w Lubiążu, będących częścią europejskiej ligi. Firma uruchomiła też niedawno sklep internetowy, w którym można kupić drony i części do maszyn – zarówno tych wykorzystywanych profesjonalnie, jak i amatorsko.

Jako przedsiębiorstwo powstałe w środowisku akademickim, BZB UAS współpracuje z wieloma lokalnymi uczelniami. Start-up wspiera studenckie projekty badawcze z PWR, Uniwersytetu Przyrodniczego, Akademii Wojsk Lądowych oraz Uniwersytetu SWPS. *Wywodzimy się z koła naukowego, dlatego chcemy wspierać aktywnych studentów. Oferujemy im praktyki i staże, dajemy szansę rozwoju i nauki – deklaruje współzałożyciel i dodaje, że pracownikiem firmy może zostać każdy, bez względu na wykształcenie. CV to tylko drogowskaz, który nic nie znaczy. Staramy się zatrudniać ludzi z pasją. Mamy na pokładzie informatyków, geomatyków, geologów, mechatroników, ludzi po grafice i administracji, a nawet dziwięciu maturzystów po technikum mechatronicznym. Jeżeli ktoś jest ambitny i chce się rozwijać, będzie miał u nas taką okazję – podsumowuje Kacper Budnik.*

←

*Dzięki dronom
Lasy Państwowe są
w stanie w miesiąc
zebrać dane, na
które leśnik w terenie
potrzebowałby 2-3 lat
fot. BZB UAS*



MIESZKANIA NA LATA

wroclaw.atal.pl

Po co nam osiedla?

W jaki sposób mieszkańcy mogą wpływać na najbliższą okolicę? Jak mogą kształtować swoje sąsiedztwo, aby lepiej odpowiadało na ich potrzeby, zapewniało im większe bezpieczeństwo, poczucie komfortu, a nawet dumy?



Są trzy główne drogi. Pierwsza prowadzi przez indywidualne inicjatywy, nierzadko samotne zmagania z otaczającą rzeczywistością. Druga – to ścieżka zrzeszania się i wspólnego działania w nieformalnych, często towarzyskich grupach lub lokalnych fundacjach czy stowarzyszeniach. Trzecia z kolei to droga biegnąca gdzieś pomiędzy systemem urzędowym a pracą społeczną, czyli lokalna reprezentacja mieszkańców w jednostkach pomocniczych miast lub gmin. Ta możliwość otworzyła się dla obywateli 35 lat temu dzięki Ustawie z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym. Ten akt prawny uznawany jest za jeden z kluczowych dla transformacji ustrojowej w Polsce po 1989 roku, a jego głównym celem było przywrócenie idei samorządności od najniższego poziomu oraz przekazanie społecznościom lokalnym realnej

władzy i odpowiedzialności za sprawy, które bezpośrednio ich dotyczą.

DECYZJE W RĘCE MIESZKAŃCÓW

Na fali zmian wprowadzonych przez ustawę kolejne gminy i miasta decentralizowały się, powołując do życia jednostki pomocnicze: dzielnice, osiedla, kolonie, sołectwa i inne, nadając im statuty, a w nich przekazując części swoich zadań i kompetencji. Tym samym od początku lat 90. wiele spraw zaczęło być powoli cedowanych z administracji centralnej na szczebel lokalny, a mieszkańcy stali się z mocy prawa wspólnotą samorządową, która uczyła się decydować o najbliższym otoczeniu. Miało to miejsce również we Wrocławiu – i tu właśnie rozpoczyna się tak naprawdę historia naszej samorządności najniższego szczebla.

LOKALNA MOZAIKA

Wrocławskie osiedla powołała do życia uchwała Rady Miejskiej Wrocławia z 20 marca 1991 roku (nr XX/110/91) tworząca 47 jednostek pomocniczych miasta. Zastąpiły one pięć postpeerelewskich administracyjnych molochów, które nadal, pomimo upływu 34 lat od ich likwidacji, żyją w pamięci wrocławian: Psie Pole, Fabryczną, Krzyki, Stare Miasto i Śródmieście.

Powstały osiedla większe i mniejsze, zarówno pod względem powierzchni, jak i liczby mieszkańców. Jedne porównywalne są z miastem wielkości Oławy czy Oleśnicy (30–40 tysięcy ludzi), inne bardziej przypominają lokalną, sąsiedzką wspólnotę (do 2 tysięcy ludzi); jedne zajmują kilkanaście kilometrów kwadratowych, inne zamknięte są w kilku przecznicach. W 2016 roku w konsekwencji wyników referendum

↑
Rozwój osiedli na przestrzeni osiemnastu lat. Od lewej:
– Zakrzów 2006
– Zakrzów 2024
– Lipa Piotrowska 2006
– Lipa Piotrowska 2024
fot. gis.um.wroc.pl

→
*Lista wrocławskich
osiedli wraz z liczbą
mieszkańców (zamel-
dowanych na przynaj-
mniej trzy miesiące),
stan na dzień
30 czerwca 2025 roku
źródło: bip.um.wroc.pl*

przeprowadzonego wśród tamtejszych mieszkańców Rada Miejska zdecydowała o podziale Wojszyc-Ołtaszyna na dwie osobne jednostki, ustanawiając ostatecznie podział Wrocławia na 48 osiedli.

**ROZMYTE KOMPETENCJE,
ROZMYTA PODMIOTOWOŚĆ**

Choć istnieją już od dawna, zasady działania, granice czy kompetencje wrocławskich jednostek pomocniczych są dla mieszkańców nie do końca jasne. Osiedlowi radni, których jest łącznie blisko 800, otrzymują bardzo różne pytania, wnioski czy prośby o interwencję – od zapytania o pozwolenie na rozbudowę garażu, przez skargi na szczekającego psa sąsiada, aż po apele związane z prywatnymi inwestycjami. Nie wiele z tego natomiast leży w ich gestii. Obecnie kompetencje rad osiedli sprowadzają się głównie do opiniowania lub wnioskowania w sprawach społecznych, dotyczących zieleni, infrastruktury czy bezpieczeństwa na terenach należących do miasta. Nie ma *de facto* takiego obszaru, w którym decyzja organów osiedla byłaby jednoznacznie wiążąca dla magistratu. Od kilkunastu lat w powietrzu wisi jednak kluczowe pytanie: czy to nam wystarcza? Czy rola rady osiedla jako opiniodawcy i wnioskodawcy spełnia oczekiwania ludzi żyjących w blisko milionowym mieście w XXI wieku? Zadają je radni osiedlowi, radni miejscy – ale wyraźnie widać, że odpowiedzi poszukują także mieszkańcy, których potrzeby współdecydowania o lokalnych sprawach i kształtowania najbliższej okolicy gwałtownie wzrastają.

PUSTE URNY, KRÓTKIE LISTY
Przeprowadzona w 2016 roku „Analiza funkcjonalna osiedli” jednoznacznie wskazała oczekiwania wrocławian związane z aktywnym współuczestnictwem

w zarządzaniu przestrzenią miejską – wyrażała je blisko połowa respondentów. Co więcej, 43% badanych stwierdziło, że to mieszkańcy, a nie władze miasta, mają lepszą wiedzę na temat swoich potrzeb i deficytów, i tę wiedzę magistrat powinien brać pod uwagę.

Z drugiej strony badanie zdiagnozowało głęboki kryzys obecnego modelu samorządności na poziomie lokalnym, przejawiający się między innymi znikomym zainteresowaniem wrocławian wyborem swoich przedstawicieli do rad osiedli lub kandydowaniem w wyborach. Frekwencja w 2021 roku wyniosła niewiele ponad sześć procent, a na pięciu osiedlach wybory w ogóle się nie odbyły, ponieważ liczba kandydatów była równa liczbie mandatów do objęcia. Radni osiedli mają słaby mandat społeczny, co nierzadko jest im wypominane. Niewielkie zainteresowanie mieszkańców prowadzi do niskiej frekwencji, niska frekwencja oznacza słaby mandat społeczny, a to niestety skutkuje nikłym przełożeniem radnych na decyzje i działania magistratu.

WIATR ZMIAN?

W ostatnich miesiącach dyskusja wokół wrocławskich jednostek pomocniczych budzi wiele emocji – szczególnie w środowisku radnych, także miejskich – ze względu na prace nad reformą związaną z kompetencjami, granicami i sposobem funkcjonowania osiedli. Populacja Wrocławia rośnie – nie jest to też to samo miasto, co 35 lat temu, zarówno pod względem urbanistycznym, zagospodarowania przestrzennego, inwestycji, jak i struktury demograficznej. Postawy mieszkańców także się zmieniły na zdecydowanie bardziej proaktywne i obywatelskie. Wzrosło poczucie sprawczości i potrzeba wpływu na swoje najbliższe sąsiedztwo. Dla wielu

Leśnica	32 774
Kartowice-Różanka	31 196
Pilczyce-Kozanów-Popowice Płn.	30 747
Psie Pole-Zawidawie	30 026
Ołbin	29 741
Gądów-Popowice Płd.	23 859
Powstańców Śląskich	22 798
Nadodrże	22 154
Krzyki-Partynice	21 548
Gajowice	20 566
Przedmieście Oławskie	19 773
Biskupin-Sępólno-Dąbie-Bartoszewice	18 820
Gaj	18 371
Szczepin	18 143
Huby	17 889
Nowy Dwór	14 359
Maślice	13 860
Przedmieście Świdnickie	13 368
Muchobór Wielki	13 142
Grabiszyn-Grabiszynek	12 865
Jagodno	12 285
Plac Grunwaldzki	12 084
Borek	11 456
Tarnogaj	9 498
Swojczyce-Strachocin-Wojnow	9 218
Stare Miasto	8 294
Klecina	8 046
Oporów	8 003
Brochów	7 943
Wojszyce	7 887
Kleczków	7 360
Muchobór Mały	7 342
Ołtaszyn	7 229
Polanowice-Poświętne-Ligota	6 751
Księżę	6 679
Pracze Odrzańskie	6 400
Kuźniki	5 488
Lipa Piotrowska	5 453
Sołtysowice	5 088
Żerniki	4 088
Zacisze-Zalesie-Szczytniki	3 539
Osobowice-Rędzin	2 927
Kowale	2 805
Pawłowice	2 432
Jerzmanowo-Jarnołtów-Strachowice-Osiniec	2 288
Widawa	1 901
Świniary	772
Bieńkowice	624

jest to motorem do działania, wyzwala kreatywność i różnorodne lokalne aktywności od najmłodszych po seniorów.

Zapytaliśmy ekspertów, którzy na co dzień głęboko siedzą w tematyce społecznej, o rolę, jaką widzą dla osiedli w tej nowej rzeczywistości.

OSIEDLA JAKO ODDZIAŁY URZĘDU

Dr hab. Małgorzata Madej z Instytutu Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego wyjaśnia, że osiedla mogą pełnić różne funkcje: *Jeden ze scenariuszy to jednostki gminy jako swoiste „oddziały” urzędu miasta. W tym kontekście stanowią dla mieszkańców udogodnienie w załatwianiu spraw formalnych: złożyć wniosek lub odebrać dokument można bliżej, we własnej dzielnicy, bez konieczności jechania do centrum miasta lub do miejscowości, w której mieści się siedziba magistratu. Dla gminy zaś to rozwiązanie oznacza usprawnienie realizacji zadań, choć trzeba pamiętać, że wiąże się z kosztami utrzymania budynków oraz wynagrodzenia urzędników.*

W podobny sposób widzi możliwą rolę jednostek pomocniczych dr Łukasz Srokowski, prezes Fundacji Silesia Civis, który dodaje, że to przede wszystkim wygodny podział formalny: *Z perspektywy administracyjnej osiedla są potrzebne, żeby łatwiej zarządzać dużym miastem, dobrze je podzielić i mieć kogoś, kto opiekuje się danym obszarem, monitoruje, co się tam dzieje. I tutaj nie ma większego znaczenia, według jakich linii zostaną podzielone osiedla – ważne jest tylko, żeby była rada, która zarządza daną częścią. To punkt widzenia urzędu miasta.*

PROFESJONALNA REPREZENTACJA

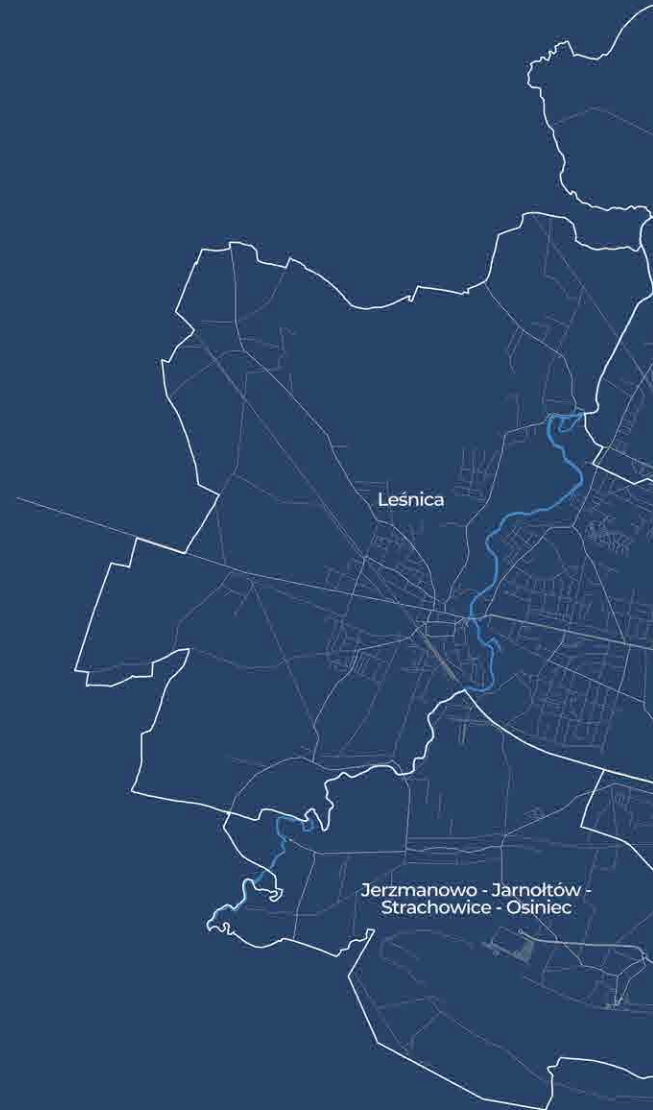
Przedłużenie kompetencji zarządczych urzędu i scedowanie na osiedla

niektórych funkcji administracyjnych bynajmniej nie wyczerpuje wizji tego, czym mogą one być. *Drugi pomysł – kontynuuje Małgorzata Madej – to jednostka pomocnicza jako reprezentacja mieszkańców w stosunku do gminy. W tym przypadku osiedle (dzielnica, sołectwo etc.) może prowadzić konsultacje społeczne (co często jest łatwiejsze na mniejszym obszarze i w mniejszej społeczności niż na terenie całej gminy), opiniować propozycje gminy dla danego terenu, uczestniczyć w dotyczących jej obszaru konkursach i postępowaniach, a także inicjować pewne działania. To najbardziej ambitne założenie, wymagające zapewnienia odpowiedniej obsługi administracyjnej, jak również promowania jakościowego i dość intensywnego zaangażowania sublokalnych aktywistów.*

Sławomir Czerwiński, przewodniczący Komisji Osiedli, Partycypacji, Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego Rady Miejskiej Wrocławia, wskazuje, że dzięki temu procesy decyzyjne stają się bardziej partycypacyjne, co podnosi jakość zarządzania miastem: *Osiedla stanowią reprezentację społeczności lokalnych wobec władz gminnych, umożliwiając artikulację potrzeb, zgłaszanie inicjatyw oraz wyrażanie opinii mieszkańców. Dzięki temu proces decyzyjny w zakresie zarządzania przestrzenią miejską może być bardziej partycypacyjny i uwzględniać głos społeczności lokalnej, co sprzyja efektywniejszemu i bardziej zrównoważonemu rozwojowi miasta.*

URZĄD TO NIE WSZYSTKO

Jak zauważa dr Jacek Pluta, zastępca dyrektora Departamentu Spraw Społecznych Urzędu Miejskiego Wrocławia, rola osiedli nie została jednoznacznie określona i w praktyce wychodzi daleko poza urzędniczy schemat: *Jeśli spojrzymy na szereg polityk miejskich*





	ludność	powierzchnia	liczba jednostek	średnio na jednostkę		najmniejsza jednostka (ludność)		największa jednostka (ludność)	
				ludność	powierzchnia				
Kraków	809,2 tys.	327 km ²	18	45 tys.	18,2 km ²	Dzielnica nr IX	15,2 tys.	Dzielnica nr IV	73,1 tys.
Wrocław	672,9 tys.	293 km ²	48	14 tys.	6,1 km ²	Bieńkowice	0,6 tys.	Leśnica	32,8 tys.
Łódź	645,7 tys.	293 km ²	36	17,9 tys.	8,1 km ²	Nad Nerem	1,1 tys.	Chojny-Dąbrowa	40,6 tys.
Poznań	536,2 tys.	262 km ²	42	12,8 tys.	6,2 km ²	Fabianowo-Kotowo	1,8 tys.	Piątkowo	31,2 tys.
Gdańsk	488,7 tys.	683 km ²	35	14 tys.	19,5 km ²	Rudniki	1 tys.	Chełm	30,7 tys.
Szczecin	386,7 tys.	301 km ²	37	10,5 tys.	8,1 km ²	Międzyodrze-Wyspa Pucka	0,8 tys.	Gumieńce	23,9 tys.
Lublin	328,3 tys.	147 km ²	27	12,2 tys.	5,4 km ²	Abramowice	1,6 tys.	Rury	26,3 tys.

←

Porównanie podziału na jednostki pomocnicze gmin (osiedla lub dzielnice) siedmiu największych polskich miast, z pominięciem Warszawy, której ustroj reguluje oddzielna ustawa.

Ogólne dane dotyczące miast, tj. ludność i powierzchnia, pochodzą z raportu Głównego Urzędu Statystycznego pt. „Powierzchnia i ludność w przekroju terytorialnym 2025” z dnia 22 lipca 2025 r.

(samorządowych), to celem jednej z nich – polityki osiedlowej – powinno być zapewnienie warunków dla tworzenia silnych społeczności lokalnych. Nie da się tej sprawy załatwić samym „urzędem”, bowiem grupy te stają się silne przede wszystkim poprzez kapitał społeczny mieszkańców oraz ich zaangażowanie w sprawy lokalne na rzecz dobra publicznego. Takie postawienie sprawy w naturalny sposób tworzy przestrzeń współpracy między tym, co formalne po stronie urzędu, a tym, co nieformalne i charakterystyczne dla bezpośredniego działania społecznego.

Znaczenie zaangażowania w sprawy lokalne podkreśla także Sławomir Czerwiński, który zwraca jednocześnie uwagę na potrzebę bardziej partnerskiego podejścia i warunków organizacyjnych: Współczesne zarządzanie lokalne coraz częściej opiera się na wykorzystaniu instrumentów partycypacji społecznej oraz narzędzi komunikacji, które umożliwiają włączanie mieszkańców w procesy decyzyjne. Konsekwencją wdrażania tych

mechanizmów jest wzrost zaangażowania społeczności lokalnych i ich sprawczości – a zatem odpowiedzialności w decyzjach gminy. Jednakże proces ten wiąże się z istotnym nakładem pracy i efektywną realizacją zasady pomocniczości (należy ją doprecyzować), co wymaga nie tylko partnerskiego podejścia do współpracy na linii osiedla–urząd miasta oraz osiedle–osiedle, ale również stworzenia odpowiadającego współczesnym czasom i potrzebom zaplecza organizacyjnego na poziomie osiedli.

SILNA I ODPORNA WSPÓLNOTA

Małgorzata Madej przedstawia jeszcze jedną wizję związaną z kluczową rolą osiedli: Trzecia koncepcja to budowanie wspólnoty. Choć wydaje się najłatwiejsza, wiąże się z istotnym zadaniem we współczesnych, dynamicznie zmieniających się społecznościach sublokalnych, które mierzą się z powstawaniem nowych budynków mieszkalnych,

urbanizacją/suburbanizacją oraz imigracją. Organizacja wydarzeń integracyjnych, festynów, spotkań, warsztatów, szkoleń, forów wymiany doświadczeń, spotkań hobbystycznych i podobnych inicjatyw to zadanie wymagające środków, zaangażowania i znajomości sąsiedzkiej społeczności. Może się to jednak przyczynić do poprawienia spójności danej grupy, zapobiegania samotności, budowania sieci wsparcia, ale także umożliwiać przeciwdziałanie nastrojom ksenofobicznym i gettoizacji.

W opinii Łukasza Srokowskiego to właśnie ten cel, obok administracyjnego, jest zdecydowanie ważniejszy i głębszy: Osiedla dają możliwość budowania wspólnot, które decydują o ważnych dla siebie sprawach. Trudno wspólnie decydować o całym mieście. Ale już małe zbiorowości, liczące kilka albo nawet kilkanaście tysięcy osób, są w stanie wypowiadać się na swój temat, mieć wspólne interesy, liderów lokalnych – wszystko to, co buduje poczucie wspólnoty. A poczucie

Dane dotyczące liczby jednostek pomocniczych gminy oraz ich ludności i powierzchni pochodzą z Biuletynów Informacji Publicznej poszczególnych miast: Wrocław i Szczecin – czerwiec 2025, Kraków, Łódź, Poznań – grudzień 2024, Gdańsk – grudzień 2023, Lublin – grudzień 2021

→
 Frekwencja
 w wyborach do wro-
 cławskich Rad Osiedli
 w 2021 roku:
 pięć z najwyższą,
 pięć z najniższą
 i pięć takich, w których
 wybory się nie odbyły.
 Średnia frekwencja
 dla całego miasta
 wyniosła 6,28%
 źródło: bip.um.wroc.pl

wspólnoty i wpływu na swoje otoczenie jest czymś, czego ludziom najbardziej ostatnio brakuje. Tak wygląda perspektywa obywateli.

NA STYKU ŚWIATÓW

Miejsce jednostek pomocniczych, jak przedstawia to Jacek Pluta, jest wyraź- nie pomiędzy tym, co formalne, sys- temowe, a tym, co nieformalne, orga- niczne i oddolne: *Z jednej strony są nie- zbędnym animatorem, a przynajmniej ogniwem spajającym dla takiej wielo- domenowej współpracy: między miesz- kańcami, grupami sąsiedzkimi, sekto- rem NGO, lokalnym biznesem etc. Z dru- giej strony są ciałem przedstawicielskim lokalnego interesariatu w sprawach dla osiedla najistotniejszych. Taką też rolę widzą dla nich sami mieszkańcy.*

Kluczowy wpływ jednostek pomoc- niczych w zakresie wzmacniania samo- rządności widzi Sławomir Czerwiński, podkreślając potrzebę zmian na pozio- mie ustawowym: *Osiedla powinny dą- żyć do budowania struktur, które będą odpowiadały wyzwaniom XXI wieku – zarówno pod względem organizacyjnym, funkcjonalnym, technologicznym, jak i kultury współpracy. Tylko w ten sposób możliwe jest i będzie pełne wykorzystanie potencjału społeczności lokalnych w pro- cesie zarządzania przestrzenią miejską, na czym zyskają wszyscy. Cieszę się, że rozmawia się o tych zmianach na pozio- me zespołu parlamentarnego, gmin czy NGO-sów, co pokazuje, że potrzebujemy jednostek pomocniczych gmin, ale w no- wej odstonie.*

JAKICH OSIEDLI CHCEMY, JAKIE MOŻEMY MIEĆ?

Niezależnie od opcji, zaznacza Madej, kluczowe jest sformułowanie celu: *Obok tych trzech propozycji – osiedli jako „od- działów” urzędu, jako reprezentacji miesz-*

Frekwencja w wyborach do Rad Osiedli w 2021 roku		
pięć najlepszych	Kuźniki	19,08 %
	Żerniki	16,71 %
	Kowale	16,17 %
	Wojszycze	16,07 %
	Oporów	14,67 %
pięć najgorszych	Gaj	2,90 %
	Stare Miasto	2,85 %
	Przedmieście Świdnickie	2,67 %
	Powstańców Śląskich	2,35 %
	Huby	2,08 %
Bieńkowice Muchobór Mały Pawłowice Świniary Osobowice-Rędzin Na tych osiedlach wybory nie odbyły się z powodu bra- ku odpowiedniej liczby chętnych.		

kańców oraz jako wspólnoty lokalnej – można sformułować wiele innych, ale najważniejsze pozostaje, by reforma sys- temu zaczynała się od zdefiniowania, co jest potrzebne w danej gminie, ale także co jest realne, przy uwzględnieniu jej za- sobów materialnych i ludzkich.

W podobnym duchu wypowiada się dr Pluta, który za kluczowe uważa za- angażowanie mieszkańców: *Po co nam osiedla? Odpowiedź na to pytanie ściśle zależy od roli, jaką sami im przypiszemy.*

Ducha osiedlowości nie da się w spo- sób konkretny zawrzeć w przepisie, bo- wiem jednostka pomocnicza najpełniej istnieje poprzez czynne zaangażowanie mieszkańców w sprawy lokalne. Dzisiej- sza i przyszła rada osiedla powinna być przede wszystkim profesjonalna – dobrze poinformowana i posiadająca niezbędne zaplecze organizacyjne dla stawianych jej zadań, a przez to skuteczna.

Małgorzata Burnecka

AUTOBUSY I TRAMWAJE Z DAWNYCH LAT

Dzięki nim raz jeszcze można przejechać się „na kole” w przegubie Ikarusa, popatrzeć w oko tramwaju „cyklop”, a nawet poczuć się jak w przedwojennym Breslau. Mowa o Klubie Sympatyków Transportu Miejskiego (KSTM), czyli grupie pasjonatów, którzy w dawnej zajezdni tramwajowej „Popowice” popołudniami przywracają blask historycznym pojazdom wrocławskiej komunikacji miejskiej.



← Tramwaje i autobusy to pojazdy codziennego użytku, na które najczęściej nie zwracamy większej uwagi. Mają po prostu przyjechać na czas i zawieźć nas do pracy, szkoły czy w inne wybrane miejsce. Komunikacja miejska nie tylko jest ważnym elementem użytkowym każdego dużego miasta, ale też niewątpliwie wpływa na jego krajobraz. Gdy przeglądamy stare pocztówki z Breslau czy nawet zdjęcia Wrocławia lat 90., jedną z rzeczy, która rzuca nam się w oczy, są wyglądające inaczej niż dziś tramwaje i autobusy.

Gdy uświadomimy sobie, do jakich zmian taborowych doszło w ostatnich latach, możemy odkryć, że pojazdy, których na co dzień już nie widzimy na ulicach Wrocławia, wciąż są żywe w naszych wspomnieniach. Któż nie pamięta charakterystycznego zapachu podmiejskiego Jelcza, jazdy na słynnym „kole” w przegubie Ikarusa albo

jednego „oka” beczkowatego Konstala 102Na? Starsi wrocławianie wspomną też czasy, gdy z uwagi na tłok kilka przystanków trzeba było przejechać, stojąc na progu lub zderzaku poniemieckiego wozu Linke-Hofmann.

To właśnie o te wspomnienia dba wrocławski KSTM. Grupa pasjonatów już od 14 lat poświęca wolny czas na przywracanie dawnego blasku starym tramwajom i autobusom.

WZIAĆ SPRAWY W SVOJE RĘCE

Nasz klub powstał w 2011 roku, gdy stwierdziliśmy, że opieka nad zabytkami komunikacji miejskiej we Wrocławiu działa nie do końca poprawnie. Założyliśmy stowarzyszenie, którego celem jest dbanie o dziedzictwo transportowe naszego miasta i regionu – opowiada Krzysztof Kołodziejczyk, prezes KSTM. Wielu z nas już wcześniej udzielało się w sekcji komunikacyjnej Towarzystwa

Miłośników Wrocławia, jednak uznaliśmy, że więcej osiągniemy, działając niezależnie. Pierwszymi pozyskanymi przez nas pojazdami były dwa autobusy z PKS Dzierżoniów; potem zaczęły pojawiać się kolejne. W 2012 roku objęliśmy opieką nasz pierwszy tramwaj Konstal 4N1, czyli „Enusię”, który w MPK służył jako wagon gospodarczy. Gdy trafił do nas, przywróciliśmy go do stanu, w jakim woził pasażerów na przełomie lat 80. i 90. Do tego eksponatu mamy chyba największy sentyment – wspomina początki funkcjonowania klubu prezes Kołodziejczyk.

W kolejnych latach KSTM pozyskiwał następne pojazdy, w tym wyeksploatowane wozy, których miejski przewoźnik pozbywał się, robiąc miejsce dla nowych. Obecnie kolekcja klubu – kilkadziesiąt eksponatów z różnych dekad XX wieku – jest przechowywana w starej zajezdni tramwajowej „Popowice” przy ul. Legnickiej. W zabytkowej hali panuje niemal tłok. Znajdziemy tu pojazdy, które

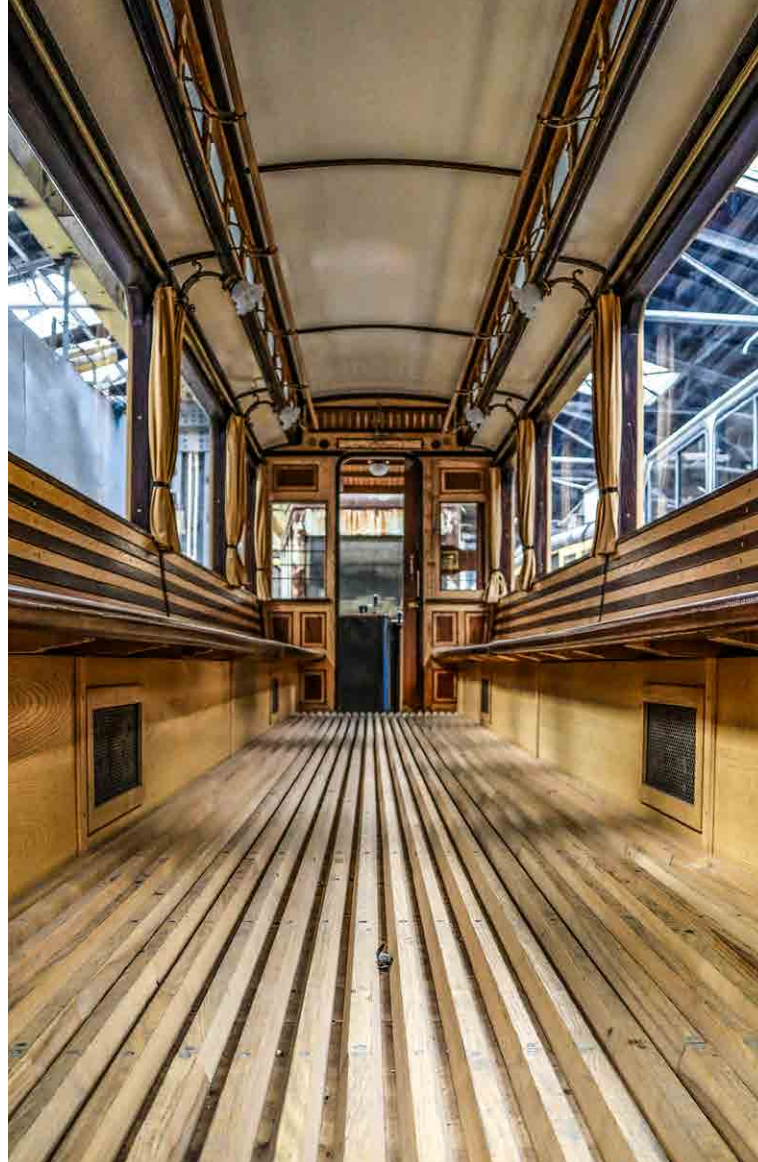
Tramwaj Falkenried
Maximum z 1901 roku
to pojazd na specjalne
okazje

fot. Nina Sawicz

→ Zabytkowy tabor
stacjonuje w dawnej
zajezdni przy
ul. Legnickiej

fot. Nina Sawicz





←

We wnętrzu tramwaju
Falkenried Maximum
można poczuć się jak
w Breslau początku
XX wieku

fot. Nina Sawicz

kursowały po Wrocławiu, jak i autobusy dalekobieżne z Dolnego Śląska i innych regionów. W skład kolekcji wchodzi też zagraniczne perełki, jak tramwaj marki Tatra z czeskiej Ostrawy czy Ikarus jeżdżący dawniej w NRD i na Węgrzech.

NAJWIĘKSZY SKARB

Chlubą wrocławskiego klubu jest wóz Maximum z 1901 roku, który cudem ocalał i przeszedł kompleksową odbudowę w latach 2013–2021. Wagon został

odnaleziony w podwrocławskim Smolcu, gdzie służył za... altankę na terenie ogródków działkowych. Tramwaj, oznaczony numerem 325, pojawia się na ulicach Wrocławia tylko przy okazji ważnych wydarzeń. Majestatycznym wozem można było się przejechać między innymi podczas Nocy Muzeów czy Dnia Otwartego MPK. Nie tylko wygląda inaczej niż dzisiejsze tramwaje – do jego eksploatacji potrzeba szczególnej wiedzy, której zdobycie stanowiło wyzwanie dla członków klubu.

Prowadzenie tego wozu czy ruszenie nim z miejsca nie jest może wyjątkowo skomplikowane, ale wymaga pewnych umiejętności, przewidywania i ostrożności. Nie ma tu systemów – wspomagania jazdy i kontroli – w które są wyposażone nowoczesne tramwaje, dlatego nie każdy motorniczy z marszu będzie umiał nim sterować. Nasi kierowcy spędzili wiele czasu na rozmowach z fachowcami pamiętającymi tego typu pojazdy jeszcze ze swojej pracy – opowiada Hubert Gontarczyk z KSTM.

→

*W tym sezonie
na wrocławskich
torach gości tramwaj
z Krakowa
fot. Bartosz Senderek*

NIE TYLKO MUZEUM

Zabytkowy tabor ze zbiorów wrocławskiego klubu możemy podziwiać regularnie. W lecie w porozumieniu z Urzędem Miejskim Wrocławia realizowane są kursy na specjalnych liniach B i T, określanych łącznie jako Wrocławskie Linie Turystyczne. Pierwsza z nich obsługiwana jest przez wiekowe autobusy, które kursują na trasie Opera – Hydropolis – Hala Stulecia, zaś tramwajową linią T przejedziemy się spod Opery do ZOO i dalej do Czasoprzestrzeni, czyli dawnej zajezdni przy ul. Tramwajowej. Co ważne, na Wrocławskich Liniach Turystycznych obowiązuje taka sama taryfa biletowa jak we współczesnych pojazdach MPK. Z przejazdów korzystają zarówno turyści, jak i mieszkańcy.

Nasze eksponaty na torach i ulicach Wrocławia wzbudzają duże zainteresowanie. W większości są to reakcje bardzo pozytywne – budzą się wspomnienia. Pasażerowie mogą przypomnieć sobie, jak jeździli takimi pojazdami do szkoły czy pierwszej pracy. Wiele osób pokazuje dzieciom, jak dawniej podróżowało się po naszym mieście – opowiada Krzysztof Kołodziejczyk.

Reakcje pasażerów są bardzo różne. Sentyment, szczególnie u osób starszych, budzą wagony z ręcznie otwieranymi drzwiami. Wspominają oni też, jak ze względu na tłok jeździło się na zewnątrz tramwaju. Ba, sentyment do takiej niebezpiecznej jazdy jest na tyle duży, że musieliśmy w naszych wozach zamontować specjalne osłonki na elementach, które oryginalnie były płaskie, żeby nikomu dziś nie przyszło do głowy tego próbować – dodaje Hubert Gontarczyk.

Członkowie klubu nie tylko wyjeżdżają swoimi pojazdami do mieszkańców, ale też zapraszają wszystkich zainteresowanych do siebie. W zajezdni na Popowicach regularnie odbywają



CZYSTOŚĆ W AUTOBUSIE ZALEŻY OD KULTURY PASAŻERA

←
Członkowie klubu
nie tylko dbają
o wygląd i stan tech-
niczny pojazdów, ale
też starają się odtwo-
rzyć w ich wnętrzach
klimat sprzed lat
fot. Bartosz Senderek

się dni otwarte, podczas których można na własne oczy obejrzeć kolekcję i wsiąść do wybranych wozów.

WSPÓŁPRACA Z KRAKOWEM

Klub prowadzi też współpracę z podobnymi organizacjami z całej Polski. To właśnie w ramach współpracy z pasjonatami z innych miast mogliśmy niedawno zobaczyć we Wrocławiu paradę ikarusów, zorganizowaną z okazji dziesięciolecia wycofania pojazdów tej marki z floty MPK. Z kolei tego lata na torach w naszym mieście pojawił się tramwaj z Krakowa.

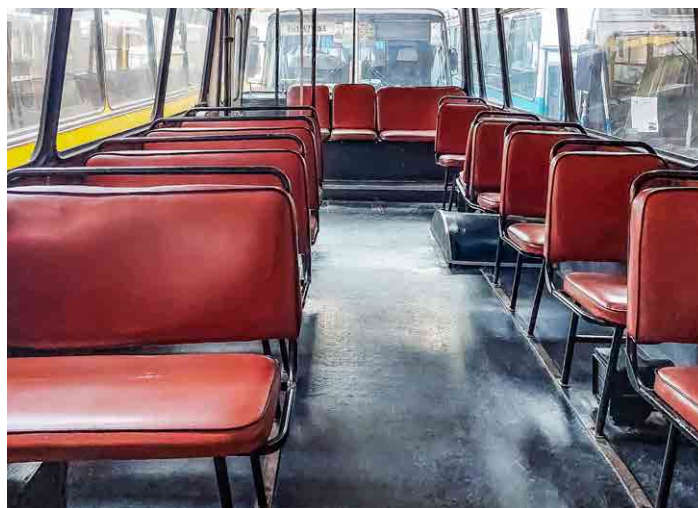
W tym roku po raz pierwszy przeprowadziliśmy wymianę taborową z MPK Kraków. Przyjechał do nas pojazd wyprodukowany przez wrocławską firmę Linke-Hofmann, który wiele lat temu pojechał do Krakowa i tam jest eksploatowany. Będzie można przejechać się nim do końca wakacji, a potem wróci do Małopolski – wyjaśnia Hubert Gontarczyk.

NAPRAWA TO WYZWANIE

Poza odrestaurowanymi pojazdami, które cieszą oko, klub jest w posiadaniu wielu tramwajów i autobusów czekających dopiero na renowację. Obecnie

remont przechodzi między innymi charakterystyczny czerwony Jelcz, produkowany niegdyś na licencji francuskiej firmy Berliet. Na odrestaurowanie czeka też ciekawy pojazd, jakim jest przyczepa do kultowego „ogórka”, czyli Jelcza 043. Sfinalizowana została już także umowa na renowację dalekobieżnego autobusu PKS – Jelcza L11.

Większości napraw dokonujemy sami. Mamy w swoich szeregach pasjonatów, ale też inżynierów. Zdobywamy dokumentację i walczymy o części, do których dostęp jest ograniczony. Jeśli czegoś nie znajdziemy, taki element musi



←
Nic tak dobrze nie
przypomni dzieciń-
stwa jak wygląd
i zapach kultowego
Ikarusa
fot. Bartosz Senderek

→
Zabytkowe tramwaje
można spotkać
w weekendy na
Wrocławskich Liniach
Turystycznych
fot. Nina Sawicz

zostać wykonany na indywidualne zamówienie. Większe naprawy przerastają nasze możliwości i musimy zlecać je profesjonalnym zakładom – opowiada klubowicz.

Członkowie KSTM dbają też o odwzorowanie szczegółów wnętrza pojazdów. W dalekobieżnym Autosanie poza fabrycznym wyposażeniem znajdziemy proporczyki i przypinki, które upodobał sobie ówczesni kierowcy, zaś w Ikarusie nie mogło zabraknąć charakterystycznego kasownika „z oczkami”, który we Wrocławiu był następcą niebieskich dziurkaczy i poprzednikiem żółtych kasowników elektronicznych.

Klub w swojej kolekcji ma też pojazdy specjalne: Poloneza, wykorzystywanego jako wóz Komisji Wypadkowej w Lublinie, czy dźwig zbudowany na ciężarówce Star 266.

CZY MOŻNA DOŁĄCZYĆ DO KSTM?

Oczywiście – warunek to chęć do pracy i zainteresowanie zabytkowymi wozami. Zapraszamy wszystkich chętnych, ale też ostrzegamy: nie chcemy członków „na papierze”. Jeśli ktoś chce zostać jednym z nas, musi najpierw wykazać się pracą, umyć kilka pojazdów, wziąć udział w naprawach i zebraniach – zaznacza Krzysztof Kołodziejczyk. Zainteresowani powinni w pierwszej kolejności skontaktować się z klubem i przyjąć na jedno z zebrań.

Bartosz Senderek



STREET FOOD POD POLSKĄ FLAGĄ

Z Michałem Czekajło i Tomaszem Hartmanem, wrocławskimi weteranami kulinarnymi, rozmawiamy o wyjątkowym, przekornym pomysle jedzenia na wynos.



Hasło przewodnie projektu?

■ Schabowy Polski to Polaka niebo w gębie. Narodowy street food – nie kebab, gyros, włoska pizza, focaccia czy rożek sushi, tylko nasz schabowy – wszyscy go znamy i jest nam bliski. Nie musimy nikogo na niego namawiać – choć wiemy, że wypada gorzej od tego robionego przez mamę. Zawsze będziemy drużdy, nigdy pierwsi, bo wartość sentymentalna i tak wygra.

Czyli nie smak, tylko emocje?

■ Nawet jeśli zjesz gorszy w domu, to i tak będzie on lepszy od naszego – i my z tym nie walczymy.

Badaliście ten temat głębiej?

■ Z domowym jedzeniem po prostu się nie walczy – tylko głupiec by to robił. Nasz cel to posiłek w bardzo przystępnej cenie. Pełnowartościowy, bo to surówka, ziemniaki, mięso, czyli

witaminy, węglowodany i białko. W cenie 24–26 złotych, zależnie od zestawu. Pełna regeneracja, do tego tak bliska naszemu sercu.

Czyli kulturowo, z domu – a turyści?

■ Marzy nam się, żeby to przekuć w sieciówkę, stworzyć fajne punkty. Bo ten pomysł ma megapotencjał, a turyści przyjeżdżają i boją się tego schabowego jeść. Sięgają po oscypki, które nie

↑

Dla wielu Polaków schabowy to coś więcej niż obiad – to wspomnienie dzieciństwa. W pracy Fundacji FTT ta codzienna potrawa staje się pretekstem do rozmów o dziedzictwie i tożsamości

fot. Julia Kulczyńiec

→

We Wrocławiu Tomek (z lewej) i Michał badają schabowego nie tylko jako smak, ale też jako symbol – łączący codzienność z kulturą wysoką. To kuchnia widziana jako żywa opowieść o Polsce. Na zdjęciu z autorką wywiadu
fot. Julia Kulczyniec

są oscypkami, bo stoi za tym marketing. Focaccia stała się teraz modna, a to jednak kawałek ciasta drożdżowego i co jeszcze? Oliwa i odrobina jakiegoś suszonego czegoś.

Trochę przypraw i jest już dobrze.

☛ I nagle to może kosztować 35 złotych. I za co właściwie płacimy? Za produkt całe 5 złotych, a reszta za marketing. A tu za 24 złote mamy burgery Polaka – bułkę, surówkę z białej kapusty, sos tartarski i 140 gramów schabu.

Wspomniałeś o liczbach. Ile tych kotletów, ilu atletów w dzień, tydzień, miesiąc przerabia?

☛ Ile tego schodzi? Na początku było bardzo dużo – około 120 sztuk dziennie. Ale potem przyszedł okres wakacyjny i tu już slabiutko – 30, 40. Teraz czekamy na studentów i ogólnie powrót do normalności. Wzbogaciliśmy ofertę o placki ziemniaczane za 4 złote.

Będzie nowe otwarcie.

☛ Już się rozpędza, ale nadchodzi druga runda, bo nie ukrywamy, że to miejsce jest pilotażem. Żeby poznać, wychwycić błędy, których popełniliśmy z milion (bo też nie da się inaczej).

Jak przy każdym projekcie.

☛ Pierwszy front to zbudowanie struktury dostawców. Osobno jest ten od mięsa, osobno od warzyw...

Sprowadzacie zza oceanu?

☛ Tylko lokalnie, choć wszyscy dostawcy zdążyli się zmienić. Zakładaliśmy pewien model, a ostatecznie skuteczna okazała się zupełnie inna struktura. Bułkę tartą mamy taką robioną pod nas – i to jest super. Mięso i surówka jadą tutaj z placu, ale też już skalibrowane, dobrane, wypracowane w toku projektu.



Ale to jest mięso z Polski?

☛ Z Polski!

Zaopatrujecie się lokalnie?

☛ Oczywiście! Dla nas podstawą są wrocławskie targowiska. Dogadujemy się tu ze wszystkimi, tak jak zawsze. To jest nasz kolejny lokal, więc mamy swoje kontakty, tylko przy tym projekcie musieliśmy wszystko lepiej zorganizować. Pomyśl na Schabowego Polskiego wydaje się bardzo prosty, ale właśnie ze względu na to, że miał być łatwy w realizacji i niewymagający zbyt wiele wysiłku, okazał się nieoczekiwanie trudny.

Proste menu, prosty projekt.

☛ W rzeczywistości to działa na odwrót – skomplikowanym rzeczom ludzie poświęcają więcej uwagi, są bardziej skupieni i ostatecznie krytyki jest mniej.

A jeżeli się robi coś prostego, to każdy stawia się w roli eksperta. Nigdy nie wygramy z tym schabowym od mamy, taty czy babci – nawet jeżeli babcia bierze 60 gramów, rozklepuje i wychodzi z tego największa tektura, to i tak wartość sentymentalna będzie o wiele wyższa.

Klienci biorą też same kotlety?

☛ Nawet niepanierowane. Kupują i wyklepane, i panierowane, ale nieraz też wyklepane, opanierowane i usmażone.

Czyli bardzo różnie.

☛ Tak, ale zdarza się również, że ktoś bierze na przykład 16 kotletów bez niczego, bo ma przyjęcie, ziemniaki sobie ugotuje, zupę też, ale ten kotlet to wiadomo – musisz panierkę zrobić, utłuc mięso i smażyć. Jak ktoś mieszka na blokach, to słyszy: „Weź 16 kotletów”...



Wracając do marzenia o skali: rozumiem, że macie nadzieję, że będzie jak z pierwszą budką McDonalda?

☛ To fajny pomysł na skalowanie. W obecnej lokalizacji działamy testowo, a docelowo będziemy w centrum. Chcemy się otworzyć obok bardzo dobrego kebabu – w pewien sposób skontrolować. Wrocław słynie z kibiców, z ludzi, dla których ważna jest tożsamość i którzy walczą o polską flagę. Chcemy zatem, żeby mieli prawo wyboru i mogli wybrać polskość. Troszkę pod włos to robimy.

Rozumiem, że tak w nurcie politycznym?

☛ Najlepszy model byłby taki, że kebab jest w ścianie, dalej frytki i sos, a obok – Schabowy Polski, koło dyskotek. I ten burger Polaka by tam zawalczył, nie? To trochę przekorne, ale bez nadęcia. Bardzo bezpieczne dla turystów. Wszyscy wiemy, czego się spodziewać. Jeżeli oczekujemy przygody, to tu jej nie

znajdziemy. Ale jeżeli chcemy zjeść dobrego kotleta schabowego w bułce, to trafiliśmy pod właściwy adres.

Skąd pomysł?

☛ Wszystko narodziło się w Chicago. Byliśmy kilka razy w Stanach i wiesz co? U nich to jest normalne, że mają jeden produkt i on im wystarcza. Jeden, ale zawsze wzmocniony ich narodową flagą. Nawet jeżeli w takiej budce z hot dogami przy pierwszej pozycji w menu stoi „with Polish sausage”, to i tak jest tam amerykańska flaga. Jeśli oferują sandwich *Italian style*, to i tak obok widnieją gwiazdzone barwy – podpis włoski, ale całość pod sztandarem Stanów Zjednoczonych. Przeszliśmy się potem po Wrocławiu i co? Mamy te flagi – mnóstwo włoskich, tajskich, japońskie, tureckie, sporo gruzińskich. Ale żeby polska flaga zdołała lokal, to nie. Teraz u nas wisi. To jest jedyne miejsce w tym mieście, gdzie taka powiewa. A tak to same włoskie wiszą. No wiesz, amerykański

burger, amerykańskie fiszo. My w Polsce nie podpisujemy jedzenia barwami narodowymi – nie wiadomo, dlaczego tak to wygląda. I tak powstał ten pomysł.

W jakich kuchniach świata można znaleźć schabowego?

☛ Są sznycle wiedeńskie, choć to coś innego. Ale właśnie – tam zostanie on podany z wbity małą austriacką flagą. A my powiedzieliśmy: kurczę, no fajnie byłoby mieć takie narodowe danie. Gdziekolwiek i kogokolwiek byś spytała, powiedzą ci, że naszym jedzeniem jest kotlet schabowy.

I pierogi.

☛ To już typowa garmazerk. Nie są do ręki, więc to nie jest to samo.

Wróćmy do klientów – kto najczęściej was odwiedza?

☛ Przekrój jest pełny: budowlańcy, uczniowie, miejscowi, seniorzy, a nawet kucharze. Każdy znajdzie coś dla siebie. Bywają osoby w trudniejszej sytuacji życiowej – u nas mogą wziąć solidną bułkę ze schabowym w dobrej cenie i po prostu zjeść porządny, znany smak. Dla wielu to komfort i normalność w wersji na wynos.

Dlaczego akurat schabowy bywa dla nich „marzeniem do spełnienia”?

☛ Bo to jest „obiad” – smak domu i bezpieczeństwa. Coś, na co niekiedy można sobie pozwolić. Raz na jakiś czas przyjść, wziąć bułkę ze schabem i zjeść bez zadęcia, wiedząc, co się dostanie.

Seniorzy też do was zaglądają?

☛ Tak, ale to wymagający goście. Często wybierają prościej i taniej – dlatego dorzuciliśmy placki ziemniaczane po cztery złote za sztukę. Widać, że ta prostota się broni.

←

Kotlet schabowy w Polsce po raz pierwszy pojawił się w XIX wieku, inspirowany austriackim sznyclem. Z czasem stał się daniem niedzielnym – niemal rytuałem rodzinnym. Choć dziś schabowy najczęściej serwowany jest z ziemniakami i kapustą, w międzywojniu popularnym dodatkiem była sałatka z buraków lub marmelada z groszkiem

fot. Julia Kulczyniec

To znaczy, że menu będzie się rozszerzać? Na przykład o wege?

☞ Nie. Ten projekt stoi na prostocie. Mamy burgera Polaka, zestaw i placki ziemniaczane – ze śmietaną i cukrem albo z gulaszem. I tyle. Taka decyzja.

A zupy?

☞ Są. Ta okolica „lubi” proste bary: smażalnie, plackarnie. My dokładamy do tego polskiego schabowego – na wynos.

Jakie są najbliższe plany?

☞ Wyciągnęliśmy wnioski z pierwszych błędów. Sprzęt mamy dopracowany. Jeśli po powrocie studentów będzie dobrze, zostaniemy tu i w drugiej kolejności otworzymy następny punkt. Jeśli nie – przeniesiemy się do centrum. Zespół został przeszkolony, więc jesteśmy elastyczni.

Ile osób ogarnia punkt na co dzień?

☞ Dwie. To okienko i wydawka na wynos, bez obsługi sali. Chcielibyśmy martwić się kiedyś problemami z gatunku „jest nas za mało”, ale na razie cieszymy się z komfortu pracy i łatwości utrzymania wysokiej higieny.

Jak wygląda Schabowy Polski „od kuchni”?

☞ Mamy niewielką przestrzeń, ale jesteśmy świetnie wyposażeni w nowoczesny i solidny sprzęt. Dla klienta liczy się efekt: równo wysmażony, duży kotlet i bułka, która to udźwignie.

Macie obsługę dostaw w aplikacjach?

☞ Tak, są zamówienia przez popularne platformy – ale sednem pozostaje wydawka na miejscu.

Czego nauczył was ten projekt?

☞ Tak jak wspominaliśmy wyżej – że w prostocie jest najwięcej pułapek. Przy

skomplikowanych kartach dań wszyscy są ostrożniejsi. Tu każdy czuje się ekspertem od schabowego: jedni chcą na smalcu, inni bez; grubszy, cieńszy, inaczej rozbity. Trzeba mieć stalowe nerwy i jasny koncept.

Jaka jest wasza receptura na kotlet?

☞ Prosta. Schab wieprzowy, rozbity „na trzy czwarte”, jajko z przyprawami (tu zostawimy nasz mały sekret), porządna, grubsza bułka tarta. Smażymy na żeliwnej płycie, która trzyma stałą temperaturę i równo obsmaża. Na koniec pociągamy smalcem.

Ile kotletów wchodzi na płytę?

☞ Około ośmiu – to duże sztuki. Do bułki idzie połówka, układamy w dwa „piętra”, więc porcja wychodzi konkretna.

To rzeczywiście smak dzieciństwa?

☞ Nie umiem go dziś odtworzyć jeden do jednego. Pamiętam, że u mamy kotlety były pieprzne, a bułka tarta mielona na świeżo z chleba. Z czasem w barach zaczęły się pojawiać bardzo cienko rozklepane sznycle – niby większe, ale to złudzenie. My chcemy solidny, uczciwy kotlet.

Jak byście podzielili rodzaje schabowych?

☞ Są rozklepane i nierozklepane (te drugie – do sałatek czy kanapek) i są sznycle. Kiedyś popularne były cielece, potem zostały mocno „spolszczone” na wieprzowinę. My stawiamy na dostępność – ma być porządnie i w dobrej cenie.

Ceny?

☞ Zupa około 12 złotych (pół litra), placki po 4 złote za sztukę. Emerytka, biorąc dwa placki, ma tani, ciepły posiłek. Chcemy, żeby to działało dla całego przekroju społeczeństwa.

Zostajecie na razie we Wrocławiu?

☞ Tak, bezpiecznie. Najpierw dopracujemy model na miejscu – problemów w gastronomii można sobie narobić błyskawicznie, więc wolimy rosnąć mądrze i na spokojnie.

Michale – z iloma restauracjami pracowałeś jako kucharz?

☞ Niewieloma – trzema, może czterema, wszystkie we Wrocławiu. Najdłużej szefem kuchni byłem w Browarze Stu Mostów, a ostatnio – w restauracji w siedzibie Fundacji Olgi Tokarczuk. W branży jestem 22 lata. Zacząłem jako nastolatek u mamy w kuchni. Gotowanie to rzemiosło – najtrudniejsze bywa nie samo „pichcenie”, ale zarządzanie kuchnią, zapasami i ludźmi.

Obecnie, to wasz jedyny projekt?

☞ Nie, tworzymy też Cafe Bistro na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu, działamy w Dolnośląskim Centrum Filmowym (DCF, dawnym Kinie Warszawa), robimy posiłki regeneracyjne dla firm i prowadzimy wirtualne kantyny (Smart Lunch). Mamy też Ostrzę Ostrze – serwis noży i sprzętu, ale to już osobna historia.

Jakie są reakcje branży i gości?

☞ Szefowie kuchni mówią, że pomysł jest świetny; choć na papierze wydaje się prosty, w praktyce wymaga wielkiej dyscypliny. Zaskakuje nas rozpoznawalność: nawet pani na mięsny w Biedronce kojarzy nasze filmiki. A w pierwszych dniach co chwilę wpadał do nas jakiś wrocławski szef kuchni – spróbować i sprawdzić, czy to naprawdę „tylko” schabowy. No i tak – trzeba mieć... jajka schabowe, żeby postawić wszystko na jeden produkt.

Rozmawiała: Małgorzata Burnecka

PIŁKA DLA MŁODYCH, PIŁKA DLA WSZYSTKICH

Niejako w cieniu spadku WKS-u z Ekstraklasy nastąpiła zmiana w fotelu prezesa Dolnośląskiego Związku Piłki Nożnej. Jego rolą jest dbanie o możliwość uprawiania tego sportu w każdym mieście, w każdej gminie. Tu nic nie będzie się działo samo, siłą rozpędu – trzeba mieć plan. Co zatem zamierza nowy prezes? Rozmowa z Łukaszem Czajkowskim.



Czy łatwo jest wejść w buty szefa dolnośląskiej piłki po prezesie Andrzeju Padewskim?

— Z jednej strony nie, bo to osoba niezwykle zasłużona dla futbolu w naszym regionie, bardzo pozytywnie oceniana w środowisku przez pryzmat nie tylko osobowości, ale też działań za swojej kadencji. Z drugiej strony od lat

współpracowałem z Andrzejem, więc jestem przygotowany i przyzwyczajony do pewnego modelu istnienia tego sportu w naszym regionie, które starał się wdrażać mój poprzednik. Moja kadencja ma być kontynuacją programów realizowanych od lat, ale przede mną również sporo nowych, ciekawych wyzwań.

Jakie są kluczowe projekty z punktu widzenia DZPN?

— Celem piłki amatorskiej, w szczególności dziecięcej i młodzieżowej, jest budowanie masowości tego sportu oraz realnej dostępności dla wszystkich, czyli stworzenie warunków do maksymalnego rozszerzenia podstawy piramidy futbolowej w naszym regionie.

Jak na dziś ocenia pan stan dolnośląskiej piłki?

Moim zdaniem sytuacja wygląda dobrze, jednak musimy stale pamiętać, że konieczne jest przeciwdziałanie zagrożeniom, które w najbliższych latach mogą doprowadzić do kryzysu tej dyscypliny. Szczególnie istotne są tu wyzwania związane z demografią.

Z moich obserwacji wynika, że na razie cierpią głównie mniej popularne sporty.

Ze względu na niski próg dostępności piłka jest bardziej powszechna od wielu innych dyscyplin, bo łatwiej stworzyć warunki do uprawiania futbolu niż chociażby tenisa czy łyżwiarstwa. Nie znaczy to jednak, że nie ma zagrożeń, bo liczba młodych osób sukcesywnie maleje – widać to choćby po lekcjach wychowania fizycznego, gdzie dochodzi jeszcze kwestia licznych nieobecności. W celu przeciwdziałania temu problemowi powstał nasz nowy projekt: chcemy wyjść do klas I–III w szkołach podstawowych na Dolnym Śląsku i przeprowadzić pokazowe zajęcia. Dadzą one pewne narzędzia nauczycielom wychowania wczesnoszkolnego – zademonstrujemy, w jaki sposób prowadzić ciekawe lekcje i zainteresować piłką jak największą liczbę dzieci, a w zasadzie nie tylko piłką, a aktywnością fizyczną w ogóle.

Jak widzi pan wsparcie państwa i samorządu w obszarze sportu młodzieżowego? Rząd znów mówi między innymi o budowie orlików.

Ta infrastruktura ma charakter nieco bardziej rekreacyjny czy szkolno-rekreacyjny aniżeli typowo piłkarski. Niemniej jednak Ministerstwo Sportu i Turystyki równolegle do tego projektu prowadzi też naboru w programie

budowy pełnowymiarowych boisk, więc myślę, że ta polityka idzie dwutorowo. Dla środowiska piłkarskiego bardziej istotne są duże, kompletne obiekty, które mogą być wykorzystane przez wszystkie kategorie wiekowe – od najmłodszych po seniorskie.

A jak dzisiaj wygląda współpraca klubów sportowych ze szkołami?

Trzeba zauważyć, że wielu nauczycieli wychowania fizycznego to również trenerzy piłki nożnej w klubach. Natomiast to, na co zwracamy uwagę w kontekście programu „zDolnośląskie dzieciaki”, to fakt, że w szkołach podstawowych w klasach I–III lekcje WF najczęściej nie są prowadzone przez wykwalifikowanych nauczycieli wychowania fizycznego. To nie jest wina szkół i tych pedagogów, ale kwestia braku rozwiązań systemowych. Najlepszą formą promowania aktywności wśród najmłodszych, dającą jednocześnie szansę na wyszukiwanie talentów na tym etapie edukacji, byłaby opieka nauczycieli wychowania fizycznego już w okresie wczesnoszkolnym. To kluczowy wiek, aby dzieci te były odpowiednio skoordynowane ruchowo. Program ma także umożliwiać przedstawienie uczniom, ich rodzicom i nauczycielom oferty lokalnych klubów sportowych. Ważne jest zbudowanie świadomości, że w sąsiedztwie istnieją takie miejsca – i że szkoła może być pierwszym krokiem do rozpoczęcia przygody ze sportem.

Związek opiekuje się przede wszystkim futbolem amatorskim. Jaka jest jego obecna kondycja w regionie? Czy brakuje chętnych do udziału w rozgrywkach niższych lig?

Jesteśmy na początku sezonu. Wbrew trendom populacyjnym na Dolnym Śląsku nie odnotowujemy jakichś

drastycznych spadków, jeśli chodzi o liczbę drużyn przystępujących do rywalizacji w rozgrywkach amatorskich. Wręcz przeciwnie – mamy rokrocznie sporo zgłoszeń nowych zespołów w mistrzostwach chociażby klasy B i co sezon przybywa ich po kilkanaście. Cześć z nich oczywiście znika, część wraca po latach, ale na całe szczęście odnotowujemy niewielką liczbę przypadków wycofywania się zespołów w trakcie sezonu.

Kto dziś gra rekreacyjnie w piłkę nożną?

Myślę, że średnia wieku w drużynach nieprofesjonalnych rośnie, ale trudno się dziwić, biorąc pod uwagę aktualne trendy demograficzne. Starzejemy się na całe szczęście wolniej, dbamy o kondycję, a i opieka zdrowotna jest bardziej zaawansowana, więc ten graniczny wiek aktywności piłkarskiej zawodników się przesuwa.

Jak wygląda promocja amatorskiego futbolu w związku?

Jeden aspekt to popularyzacja tej dyscypliny, czyli zachęcanie do tego, aby więcej drużyn powstawało i zgłaszało się do rozgrywek. Myślę, że jako związek dużo robimy w tym obszarze – promujemy piłkę chociażby poprzez transmisje meczów niższych klas rozgrywkowych. Najważniejsze rozstrzygnięcia w Kolejach Dolnośląskich IV Ligi czy JAXAN Dolnośląskim Pucharze Polski można oglądać na naszym kanale w serwisie YouTube. Współpracujemy też z lokalnymi partnerami poprzez nieodpłatne udostępnianie im prawa do transmisji meczów na każdym szczeblu. Dzięki temu trafiamy do szerszej publiczności. Drugi aspekt to likwidacja wszelkich przeszkód, które ograniczają dostęp do gry w piłkę nożną. Im

←

Inauguracja projektu „zDolnośląskie Dzieciaki”, w ramach którego DZPN przeprowadzi pokazowe zajęcia wychowania fizycznego w klasach I–III we wszystkich szkołach w regionie
fot. DZPN

mniej obostrzeń i im łatwiej przystąpić do rozgrywek, tym więcej jest drużyn. Dlatego mocno liberalizujemy dostępność dla drużyn najniższych klas rozgrywkowych (A i B), obniżając wymogi licencyjne, żeby nie było barier finansowych czy infrastrukturalnych.

Wspomniał pan o rozgrywkach Kolei Dolnośląskich IV Ligi. Jesteśmy kilka lat po stworzeniu jednej ligi w województwie na tym poziomie. Czy można się już pokusić o ocenę tej reformy?

☛ W mojej ocenie była dobra – i wydaje mi się, że podobnie myślą kluby (a przynajmniej takie wnioski płyną z rozmów z ich przedstawicielami).

Najczęściej narzekano, że poziom obu grup – wschodniej i zachodniej – był różny.

☛ Zdecydowanie wielokrotnie podnoszono ten argument – i faktycznie pewne dysproporcje można było zauważyć. Pojawiły się też głosy, które broniły tego podziału. W meczach barażowych bardzo często wygrywały bowiem drużyny z grupy zachodniej, mimo że wszyscy mówili, że jest potencjalnie słabsza. Rozmawiamy jednak z klubami, analizujemy efekty tych zmian i nie spotykamy się z opiniami, które mówiłyby, że to był zły kierunek. Tegoroczny sezon Kolei Dolnośląskich IV Ligi zapowiada się wyjątkowo interesująco.

Jak bardzo spadek Śląska okazał się problematyczny dla całego futbolu w regionie?

☛ To duża strata, gdyż jest to potężna marka, z tradycjami i zasięgiem, która przyciąga dzieci do piłki na Dolnym Śląsku. Mam nadzieję, że to tylko epizod, a Śląsk Wrocław szybko wróci do Ekstraklasy.



←

W trakcie wręczania medali zawodnikom Miedzi II Legnica za zdobycie JAXAN Dolnośląskiego Związku Piłki Nożnej
fot. DZPN

A proces prywatyzacyjny WKS-u? Czy DZPN jest w niego jakoś zaangażowany?

☛ Przyglądamy się temu z boku. To dla nas autonomiczna decyzja właściciela jednego z klubów członkowskich. Jako związek nigdy nie ingerowaliśmy w formułę prawną czy właścicielską któregoś z naszych podmiotów – niezależnie od tego, czy mowa o klubie z Ekstraklasy, pierwszej ligi czy klasy B. To wewnętrzna sprawa danego klubu, podmiotu czy właściciela.

Związek miał opinię raczej opozycyjnego wobec prezesa PZPN Cezarego Kuleszy. Czy ta sytuacja zmieniła się w czasie jego drugiej kadencji, kiedy to pan jest na czele DZPN?

☛ W mojej ocenie nigdy nie staliśmy po przeciwnych stronach barykady. Nasza krytyka zawsze opierała się na rzeczowych argumentach i oczekiwaniach działań korzystnych dla piłki z perspektywy wojewódzkich związków

i naszych klubów. Ale gdy trzeba było władze PZPN pochwalić, to chwaliliśmy. Chcemy merytorycznie rozmawiać na tematy związane z rozwojem piłki i pozostajemy otwarci na pomoc we wdrażaniu ciekawych rozwiązań – zwłaszcza takich, które sami zainicjowaliśmy na Dolnym Śląsku. Takim przykładem jest chociażby projekt rozpoczynany w szkołach. Już po samym pilotażu mamy sygnały z centrali, że mogą być nim zainteresowane różne podmioty. Czemu więc nie rozszerzyć go na kraj przy współpracy z PZPN, Ministerstwem Sportu i Turystyki oraz Ministerstwem Edukacji?

Czy nie mamy do czynienia z problemem „piłki dwóch prędkości”? Rozwijają się akademie dużych klubów – a to przecież często z mniejszych ośrodków pochodzą przyszli reprezentanci Polski.

☛ Z jednej strony zgodzę się z tym, że to najczęściej te małe podmioty przyciągają młodych ludzi do futbolu. Rodzicom

→
W wyborach na prezesa Dolnośląskiego Związku Piłki Nożnej Łukasz Czajkowski uzyskał poparcie 378 delegatów
fot. DZPN

z całą pewnością łatwiej przychodzi zaangażowanie się w rozwój piłkarski dziecka, jeśli w sąsiedztwie działa klub sportowy. W dużych ośrodkach jest większa oferta różnych form zajęć pozalekcyjnych i dostępność infrastruktury sportowej do rozmaitych dyscyplin. Z drugiej strony te zawodniczek i zawodnicy niemal zawsze trafiają w końcu do akademii dużych klubów i tam się rozwijają. Zapewne dlatego statystyki PZPN wskazują, że w kadrach narodowych debiutantami najczęściej zostają osoby z mniejszych ośrodków, choć często są to piłkarze dużych akademii.

Jak powinien wyglądać przeskok z klubu małego do dużego?

☛ To jest sprawa indywidualna – jeden zawodnik rozwija się szybciej, drugi wolniej. Mówimy tu o rozwoju fizycznym, ale też psychicznym. To bardzo ważny element i trzeba na to zwracać uwagę, bo często zbyt szybkie wyciągnięcie młodego piłkarza z jego środowiska może mieć skutki odwrotne do zamierzonych. Dla zawodników starszych niż 12 lat nalicza się ekwiwalent za szkolenie i nasze profesjonalne akademie często czekają na ten moment, aby danego uczestnika bardziej zaangażować. Ważna jest tutaj rola trenera, który powinien wyczuć idealny dla młodego piłkarza czas na przeskok i wdrażać tę zmianę etapami.

Czy istnieje możliwość przełamania negatywnego stereotypu działacza sportowego?

☛ Ja bym tego określenia nie unikał, gdyż działacz to bardzo istotna postać w całej strukturze. Dziś ten wizerunek nie jest najlepszy, nad czym ubolewam. Ja siebie też jak najbardziej mogę określać mianem działacza, bo wywodzę się z małego klubu i przeszedłem przez



różne szczeble hierarchii. Działacze to bardzo szerokie grono – to nie tylko osoby, które zarządzają związkami czy klubami, ale też ludzie działający w strukturach piłkarskich, w tym w klubach, często społecznie, przez co są ważnym ogniwem całego środowiska sportowego. Natomiast zgodzę się, że wizerunek działacza ocenia się obecnie przez pryzmat rozmaitych zdarzeń, które miały miejsce choćby w PZPN. Naszą rolą jako osób działających w tym środowisku jest zmienić ten obraz.

Jakie wyzwania stawia pan przed sobą na obecną kadencję?

☛ Wojewódzkie związki mają za zadanie prowadzić rozgrywki i zapewnić ich stabilność, między innymi poprzez zachęcenie jak największej liczby osób do uprawiania piłki nożnej oraz rozwój obecnych i tworzenie nowych klubów

na terenie Dolnego Śląska. Nie lekceważę także aspektu promocyjnego, abyśmy zainteresowali tym sportem jak największą liczbę osób. Nie wszyscy, którzy zaczynają przygodę z futbolem, staną się zawodowcami, ale duża część będzie grać amatorsko czy zostanie w środowisku w innej roli – jako lekarze, fizjoterapeuci, kierownicy drużyn, trenerzy, sędziowie czy choćby kibice. W mojej ocenie w taki sposób należy budować szeroką społeczność piłkarską w regionie. Im liczniejsza będzie to grupa, tym większy potencjał oraz szansa na przyciągnięcie kapitału w postaci firm, sponsorów i partnerów, którzy będą chcieli uczestniczyć w funkcjonowaniu środowiska piłkarskiego. To z kolei pozwoli na stały i sukcesywny rozwój piłki nożnej na Dolnym Śląsku.

Rozmawiał: Kamil Rybikowski

PRZEZ SPORT I TURYSTYKĘ DO WIELKOŚCI

Startujący z Dolnego Śląska wyścig Tour de Pologne przyciągnął na trasę tłumy kibiców, a przed telewizory – milionową widownię. Rozmawiamy z wicemarszałkiem województwa, Wojciechem Bochnakiem, o tym, jak święto fanów kolarstwa stało się jednocześnie okazją do pokazania piękna naszego regionu potencjalnym turystom z całego świata.



Na Dolnym Śląsku ponownie gościliśmy w tym roku Tour de Pologne. Jak ocenia pan tegoroczną, 82. edycję i co można powiedzieć o samym wyścigu?

— Wszystko przebiegło sprawnie i bardzo się cieszę, że kolejny rok z rzędu wyścig wystartował właśnie u nas, na oczach milionowej, międzynarodowej widowni. Warto podkreślić prestiż tej imprezy i korzyści promocyjne płynące z jej

współorganizacji. To jedyny wyścig rangi World Tour, którzy przetrwał II wojnę światową i czasy PRL. Związek Dolnego Śląska z tym wyścigiem trwa już 70 lat – i chcemy tę tradycję kontynuować. Po raz kolejny atmosfera wyścigu i tłumy kibiców pokazały, że to świetna decyzja, bo Tour de Pologne to przede wszystkim wydarzenie społeczne. Wspaniale było oglądać Dolnoślązaków stojących

przed domami z flagami oraz transparentami, kibicujących najlepszym kolarzom świata.

Jakie było w tym roku zainteresowanie całą imprezą?

— Ogromne – nie tylko wśród mieszkańców czy kibiców sportu i kolarstwa, ale także wśród osób, firm i branż, które przy tej okazji chciały się pokazać. Aż

↑
Tegoroczny wyścig wystartował spod wrocławskiej Hali Stulecia
fot. UMWD

→
Wojciech Bochnak
wicemarszałek
Województwa
Dolnośląskiego
fot. UMWD

trzy etapy wyścigu przebiegały przez nasz region – czyli praktycznie połowa całości była właśnie u nas. Wrocław, Legnica, Karpacz, Ziemia Wałbrzyska – najpiękniejsze tereny i zabytki w świetle obiektywów i transmisji telewizyjnych na cały świat. Pokazaliśmy w ten sposób walory Dolnego Śląska – od malowniczych tras górskich, poprzez urokliwe miasteczka, aż po nowoczesne oblicze Wrocławia i aglomeracji. Nie zapominajmy, że wyścig ten jest oglądany w ponad 100 krajach – to ogromna ekspozycja marketingowa dla naszej turystyki, lokalnych marek i branż. Korzystają na tym hotelarze, restauracje, punkty usługowe i liczne ogniska lokalnej gospodarki. Co istotne, tegoroczna edycja ma też wymiar symboliczny – chcemy pokazać, że po zeszłorocznej powodzi region się odbudował i jest gotowy na przyjęcie zwiedzających i kibiców z całego świata, bo Dolny Śląsk zaczyna być atrakcyjnym celem wyjazdów dla przyjezdnych z egzotycznych z naszego punktu widzenia krajów.

To znaczy?

■ Razem z Dolnośląską Organizacją Turystyczną i Departamentem Sportu i Turystyki prowadzimy badania, z których wynika, że budowane od dłuższego czasu kontakty – na przykład z krajami arabskimi – przekładają się na zainteresowanie naszym regionem. Coraz częściej goście z Bliskiego i Dalekiego Wschodu zamiast Tatr czy Pomorza wybierają Karkonosze i piękne dolnośląskie miasteczka. Rocznie odwiedza nas ponad pięć milionów gości, a obrót całej branży według danych GUS to około siedmiu miliardów złotych.

Odbudowa obejmuje też sport?

■ W wielu miejscach naszego regionu, jak w Ząbkowicach Śląskich czy bardzo



dotkniętym powodzią Kłodzku, rozpoczynają się inwestycje związane z odbudową infrastruktury po tym kataklizmie. Powstaną dwa nowe, w pełni funkcjonalne baseny. Z Ministerstwa Sportu i Turystyki na te cele popłynęło ponad 48 milionów złotych. We władzach województwa również się nie zatrzymujemy – jesteśmy po trzech konkursach na dofinansowanie naszej bazy sportowej na czele z Dolnośląskimi Parkami do Gry w Tenisa i Padla. Sport to

jeden z priorytetów regionu, gdyż gwarantuje zdrowe społeczeństwo i integrację, ale także katalizuje rozwój – tworzy nowe miejsca pracy i buduje sportowo-rekreacyjną ofertę gmin. Spektrum nowych inwestycji jest szerokie – od stadionów, boisk i hal, poprzez szatnie, po trybuny i zaplecze techniczne. Zależy nam, by dostęp do dobrej infrastruktury był możliwy nie tylko w dużych miastach, ale również w mniejszych miejscowościach.

Jak rozwija się polityka rowerowa województwa?

Wspólnie z partnerami samorządowymi i organizacjami społecznymi pracujemy nad realizacją projektu Dolnośląskiej Cyklostrady – sieci ponad 1800 kilometrów tras, które połączą region w spójną, bezpieczną i atrakcyjną sieć. Można będzie na przykład pojechać zintegrowanym transportem do Srebrnej Góry, przejechać rowerem wokół Twierdzy Srebrnogórskiej, pojechać dalej – i poznawać w ten sposób region na dwóch kółkach. Te działania to nie tylko udogodnienie dla mieszkańców, którzy chcą przemieszczać się tym środkiem transportu do pracy czy szkoły, ale też ogromny impuls dla turystyki rowerowej. Ma to także wymiar edukacyjny i promocyjny, bo chcemy, by jazda na rowerze była naturalnym, zdrowym wyborem – zarówno w codziennym życiu, jak i podczas weekendowych wypadów.

Niedawno wystartował program – „Poznaj Dolny Śląsk”. Na czym polega?

To inicjatywa skierowana do uczniów szkół podstawowych z całego województwa. Chcemy, by każde dziecko miało szansę odwiedzić wyjątkowe miejsca naszego regionu – zamki, muzea, parki krajobrazowe, obiekty historyczne czy ośrodki kultury. W ramach programu finansujemy wycieczki edukacyjne, co ma jednocześnie wspierać branżę turystyczną. To działanie dwutorowe – z jednej strony pomagamy lokalnym przewodnikom, muzeom, restauracjom i hotelom, z drugiej oferujemy dzieciom możliwość nauki przez doświadczenie i odkrywanie własnego regionu. Chcemy wzmacniać lokalną tożsamość, budować więź z Dolnym Śląskiem i pokazywać, jak wiele mamy do zaoferowania.

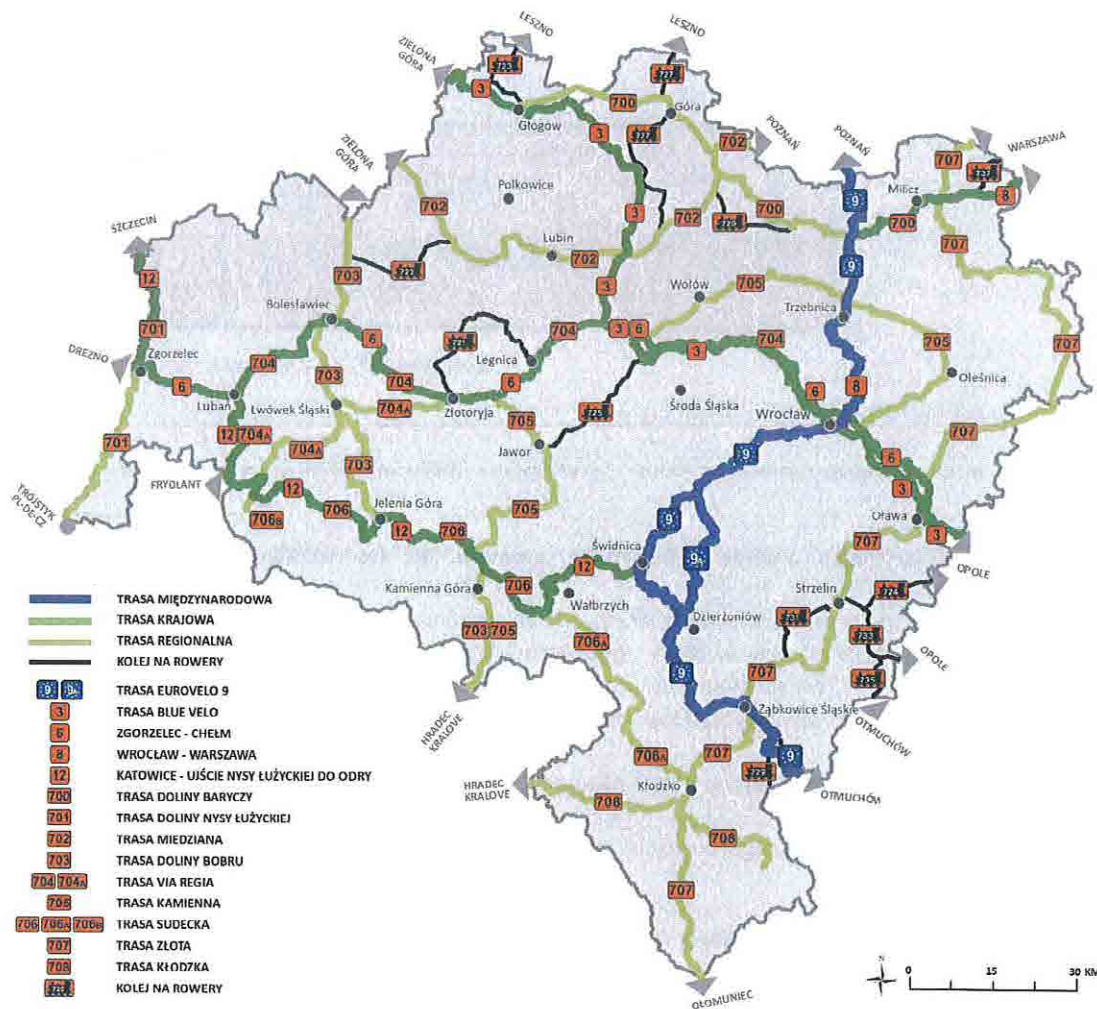
Czy to oznacza, że Dolny Śląsk chce przyciągać nie tylko turystów, ale także młodych ludzi na stałe?

Absolutnie tak. Naszym celem jest kreowanie regionu atrakcyjnego turystycznie, ale również takiego, w którym młodzi ludzie chcą mieszkać, studiować, pracować i zakładać rodziny. Dobre szkoły, uczelnie, rozwijająca się gospodarka, nowoczesna infrastruktura, ale też bogate życie kulturalne i sportowe – to wszystko razem tworzy unikalną ofertę. Dolny Śląsk to różnorodny

region z przyszłością, otwarty na ludzi, pomysły i zmiany. I jestem przekonany, że ci, którzy tu przyjadą – czy to na wycieczkę, czy na studia – zostaną z nami na dłużej.

Dziękujemy za rozmowę.

Ja również i serdecznie zapraszam wszystkich do aktywnego odkrywania Dolnego Śląska – z perspektywy roweru, aparatu fotograficznego, szkolnej wycieczki czy sportowych emocji.



↑
Mapa Dolnośląskiej Cyklostrady według załącznika do uchwały Sejmiku Dolnośląskiego nr 8285/VI/24 z dnia 4 marca 2024
źródło: UMWD



CZYTAJ WIĘCEJ

OFENSYWA DYPLMATYCZNA TRWA

We Wrocławiu gościł Matthias De Moor, przedstawiciel rządu Flandrii na Polskę oraz kraje bałtyckie.

Flandria to ważny partner Polski w dziedzinach biotechnologii, mikroelektroniki oraz transportu. *Takimi spotkaniami otwiera się nowe rynki i przestrzenie do działań na rzecz nas wszystkich. Cieszę się, że jesteśmy postrzegani jako poważny gracz w Europie – dzięki temu możemy budować mosty między naszymi regionami i szukać nowych obszarów do współpracy. Wierzę, że to spotkanie zaowocuje kolejnymi konkretnymi projektami na rzecz mieszkańców Dolnego Śląska i dalszym zacieśnianiem relacji z Flandrią – podsumował Wojciech Bochnak.*



CZYTAJ WIĘCEJ

MILIONY DLA SPORTOWCÓW

20,3 miliona złotych dla gmin i 3,2 miliona złotych dla klubów sportowych.

W ramach dofinansowania Dolnośląskiego Programu Rozwoju Infrastruktury Sportowej pieniądze otrzymały między innymi wrocławskie kluby Śląz Wrocław, WKS „Śląsk” i KS AZS Wratislavia, a także organizacje z regionu: Silesia Żarów, LZKS HEROS Boguszów-Gorce, KS AGAT oraz Zamet Przemków. W ramach kolejnego projektu planowane jest rozdysponowanie w najbliższych miesiącach 500 tysięcy złotych na modernizację infrastruktury sportowej, a także na poprawę stanu techniczno-funkcjonalnego istniejących obiektów sportowych.



CZYTAJ WIĘCEJ

POZNAJ DOLNY ŚLĄSK!

Decyzją Sejmiku Województwa Dolnośląskiego blisko 3 miliony złotych przekazano na program „Poznaj Dolny Śląsk!”. To inicjatywa edukacyjno-turystyczna, której celem jest zapoznanie najmłodszych mieszkańców z historią i kulturą naszego regionu.

Podróżowanie po Dolnym Śląsku to przede wszystkim wyjątkowa lekcja historii, geografii, kultury i tożsamości regionalnej. Od tajemnic Gór Sowich, poprzez zapierające dech w piersiach Karkonosze, aż po najpiękniejsze w Polsce zamki i pałace, wielowiekowe zabytki i cenne ślady historii – każdy wyjazd to okazja do nauki, refleksji i budowania więzi z wyjątkowym miejscem, jakim jest Dolny Śląsk – uważa Wojciech Bochnak, członek zarządu województwa. Tegoroczna edycja projektu ma jeszcze jeden ważny aspekt – pieniądze przekazane przez samorząd mają być wykorzystywane przez szkoły na organizację wycieczek w rejony dotknięte ubiegłoroczną powodzią. W ten sposób władze województwa chcą wesprzeć przedsiębiorców z tych okolic, których bardziej niż sama fala powodziowa dotknęła fala odwoływanych rezerwacji.

Na podstawie informacji przesłanych przez UMWD opracował Bartosz Senderek.

Wszystkie fotografie pochodzą od UMWD.

Zachęcamy do lektury rozszerzonych wersji na portalu wroclife.pl – linki w kodach QR.

JAK ZACZAĆ INWESTOWAĆ W ZŁOTO?

Złoto fizyczne jest inwestycją długoterminową, która pomaga w ochronie wartości nabywczego pieniądza, dlatego cieszy się coraz większą popularnością – w ubiegłym roku popyt na ten kruszec był na całym świecie rekordowy i wyniósł blisko pięć tysięcy ton. Jak zacząć przygodę ze złotem? Gdzie bezpiecznie je kupić i w jakiej formie?



Rynek złota jest znacząco mniej skomplikowany, niż akcyjny czy obligacyjny. Niemniej także i tu, jak przy każdej transakcji, warto pamiętać o kilku zasadach.

Cena złota jest zmienna, a wpływ na wartość uncji mają przede wszystkim popyt i podaż. Tak jak na każdej giełdzie w sytuacji, gdy popyt przewyższa podaż, cena kruszcu rośnie. Istotne są także wydarzenia międzynarodowe. Niepewność gospodarcza, kryzysy czy konflikty zbrojne zwiększają popyt na złoto – jest ono bezpieczną przystanią dla kapitału.

Tak było między innymi w 2022 roku, gdy Federacja Rosyjska zaatakowała Ukrainę. Podobnie teraz, gdy Donald Trump, prezydent Stanów Zjednoczonych, zapowiedział zaostrzenie polityki celnej. Cena kruszcu rośnie, ponieważ światowe kryzysy powodują, że inwestorzy uciekają w bezpieczne aktywa – mówi Marta Dębska, ekspertka rynku złota Goldenmark i Goldsaver.

Wśród istotnych czynników wpływających na cenę złota warto także wymienić zakupy banków centralnych, kurs dolara amerykańskiego oraz inflację.

MONETY CZY SZTABKI?

Złoto inwestycyjne występuje pod postacią sztabek i monet. Oba typy produktów różnią się pod pewnymi względami – sztabki są nieco tańsze, z kolei monety mają większe walory estetyczne.

Szczególnym rodzajem monet są monety bulionowe. Mogą być one najlepszą opcją dla inwestorów, których interesuje wyłącznie ilość zakupionego kruszcu. Są bowiem bite w celach inwestycyjnych, w przeciwieństwie do monet okolicznościowych czy kolekcjonerskich. Ma to również odzwierciedlenie

w cenie – monety bulionowe są tańsze niż limitowane edycje z wyjątkowymi projektami awersów i rewersów.

Standardową i najpopularniejszą wagą monet bulionowych oraz sztabek jest 1 uncja (31,1 grama). Złoto fizyczne kupimy również w innych wariantach wagowych. W przypadku monet może to być na przykład 1/20 uncji (1,555 grama) czy 1/10 uncji (3,11 grama). Z kolei najmniejsze sztabki ważą 1 lub 2 gramy.

Szerokie spektrum wielkości produktów sprawia, że zakup złota nie musi oznaczać wydatku liczonego w tysiącach złotych. Obecnie jednogramowa sztabka złota kosztuje około 450 złotych – mówi Marta Dębska.

KRUSZEC Z PEWNEGO ŹRÓDŁA

Przed zakupem złota fizycznego warto zwrócić uwagę na to, od jakiego pochodzi producenta. Ważne jest bowiem, by firma widniała w wykazie Good Delivery List Londyńskiego Stowarzyszenia Rynku Kruszców (LBMA). Mamy wtedy pewność, że jej produkty spełniają rygorystyczne wymogi dotyczące sztabek, ich jakości i zabezpieczeń, ale także zasad dobrych praktyk na rynku metali szlachetnych, etyki i uczciwości czy odpowiedzialnego pozyskiwania kruszcu.

Zarówno monety, jak i sztabki są bezpieczną inwestycją. Dodatkowym zabezpieczeniem tych drugich jest numer seryjny, wybijany w kruszcu. Dodatkowo sztabka znajduje się także w specjalnym opakowaniu typu certipack, które łączy w sobie cechy opakowania i certyfikatu – mówi Marta Dębska. Producenci monet również dbają o bezpieczeństwo i wprowadzają rozwiązania mające na celu potwierdzić oryginalność produktów – na przykład mikrograwerunki.

Oryginalność monet i sztabek można dodatkowo zweryfikować w bardziej



zaawansowany sposób, na przykład spektrometrem lub wagą magnetyczną – takie możliwości oferują wybrane punkty sprzedaży. To właśnie sprawdzone firmy, które działają od lat na rynku, są dodatkową gwarancją bezpiecznego zakupu złota inwestycyjnego.

GDZIE BEZPIECZNIE KUPIĆ?

Chcąc po raz pierwszy nabyć kruszec, warto osobiście odwiedzić placówkę firmy, aby zapoznać się z jej ofertą. Podczas takiej wizyty można ocenić na przykład asortyment produktów, standardy obsługi klienta oraz wiedzę sprzedawców. Te informacje pozwolą wstępnie oszacować wiarygodność i solidność potencjalnego partnera.

Najwięksi dystrybutorzy metali szlachetnych prowadzą również nowoczesne sklepy internetowe. Zazwyczaj umożliwiają szybką dostawę zamówienia kurierem (przesyłka jest oczywiście w pełni ubezpieczona) lub odbiór osobisty w dogodnie wybranym stacjonarnym punkcie firmowym.

TO NIE TAKIE TRUDNE!

Wystarczy udać się do salonu sprzedaży metali szlachetnych, wybrać produkt, dokonać płatności i odebrać zakup. Możliwe jest także zamówienie złota z terminem odroczonym w lepszej cenie – nie powinien on jednak przekraczać 45 dni. Co ważne, szczególnie stacjonarny zakup złota może być anonimowy. W przypadku transakcji o wartości do 10 tysięcy euro kupujący nie musi podawać żadnych danych. Warto także podkreślić, że na zakup złota obowiązuje zwolnienie z podatku VAT. Dotyczy to zarówno sztabek (o próbie minimum 995), jak i monet bulionowych posiadających nominal (próby minimum 900).

Złoto to bezpieczna przystań dla kapitału, odporna na inflację i kryzysy. Wybór formy inwestycji i zaufanego sprzedawcy pozwoli na ochronę siły nabywczej pieniądza i pomoże w przechowaniu wartości w czasie.

Artykuł powstał we współpracy
z Grupą Goldenmark

UCIEC, ALE DOKĄD?

Ptasia migracja to cykliczne wędrówki w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Których gatunków nie zobaczymy zimą? Jak ptaki przygotowują się do wyprawy i jakie są główne przyczyny tych podróży?



Z końcem lata dni stają się coraz krótsze. Przyroda dynamicznie się zmienia. Feeria kolorów sygnalizuje początek jesieni. Miliony ptaków wyruszają wtedy w długą podróż, ponieważ tysiące kilometrów stąd odnajdą bardziej sprzyjający klimat. Jesienne migracje są jedną ze strategii przetrwania, która od zawsze fascynuje naukowców i miłośników przyrody.

POWODY

Najważniejszym bodźcem do odlotu jest skracający się dzień (fotoperiod – okres oddziaływania światła na rośliny

i zwierzęta w cyklu dobowym lub rocznym). Uruchamia to w organizmach ptaków program migracyjny. Mniejsza ilość dziennego światła inicjuje kaskadę hormonów, „włączając” wrodzone mechanizmy wędrówki. Istotny jest też spadek dostępności pokarmu – w naszym klimacie zimą brakuje owadów. Dla gatunków dziennych krótszy dzień oznacza także mniej czasu na żerowanie, co utrudnia zgromadzenie wystarczającej ilości energii potrzebnej do przetrwania mroźnych nocy. Grunt zamarza, co skutecznie blokuje dostęp do pożywienia. Ptaki, u których podstawą diety są

owady (na przykład jaskółki), nie mogłyby przeżyć tu zimy. Mróz powoduje zamarzanie zbiorników wodnych, co odcina dostęp do pożywienia osobnikom żyjącym w ich pobliżu (choć czapla siwa potrafi zimować u nas, jeśli znajdzie otwartą wodę i pokarm). Wszystkie muszą także zużywać dużo energii na utrzymanie odpowiedniej temperatury ciała.

Instynkt migracyjny to niezwykła, wrodzona zdolność, która nakazuje odlecieć. Ptaki wyczuwają zmiany w środowisku i sygnały biologiczne „mówiące” im, że już czas. Nawet te hodowane

↑
*Żurawie o wschodzie
słońca*
fot. Adobe Stock

w niewoli wykazują niepokój migracyjny i gotowość do lotu, mimo obfitości pokarmu.

PRZYGOTOWANIA

Długi lot to ogromny wydatek energii – dlatego zanim ruszą w drogę, ptaki muszą zgromadzić zapasy. Hiperfagia, czyli nadmierny wzrost łaknienia, pozwala im odłożyć pod skórą i wokół narządów tłuszcz, który jest ich głównym „paliwem lotniczym” i zapewnia, że podolają trudom dalekiej podróży.

Inne łatwo zauważalne zachowanie to formowanie się stad. Żurawie zbierają się na tzw. sejmikach, podczas których młode uczą się od starszych, a całe grupy przygotowują się do lotu w charakterystycznym kluczu. Takie zgromadzenia to nie tylko tankowanie energii, lecz także nauka i socjalizacja młodych. Bociany można z kolei zobaczyć, jak zbierają się w wielkie gromady na polach i łąkach, zanim ruszą na południe.

U żurawi ważna jest nauka społecznosci i lot w grupie, zaś u bocianów białych silny program wrodzony pozwala młodym lecieć bez rodziców – choć i one korzystają z doświadczenia stada. To niezwykle, że ptaki, które nigdy wcześniej nie leciały na południe, potrafią odnaleźć drogę przez tysiące kilometrów. Dodatkowo lot w kluczu zmniejsza opór i pozwala oszczędzać energię dzięki wykorzystaniu wirów powietrza tworzących się za poprzednikiem.

CEL

Każdy gatunek ma własną trasę na niebie. Ptaki często korzystają z prądów powietrznych i charakterystycznych punktów orientacyjnych – rzek, gór czy wybrzeży – a także z pola magnetycznego Ziemi i gwiazd. Nocą gatunki wędrowne kierują się „kompasem gwiazdowym”, a za dnia pozycją Słońca.

Bociany białe lecą dwiema głównymi trasami: wschodnią (przez cieśninę Bosfor i dolinę Nilu aż do wschodniej i południowej Afryki) oraz zachodnią (przez Gibraltar do zachodniej Afryki), unikając długich przelotów nad wodą, gdzie brakuje prądów wznoszących.

Jaskółki spędzają zimę w Afryce Subsaharyjskiej, często w ogromnych stadach. Na zimowiskach tworzą wielkie noclegowiska w trzcinowiskach i na krzewach, codziennie „przelewając się” jak czarne chmury.

Żurawie zimują głównie w Hiszpanii i południowej Francji, część w Afryce Północnej, a przy łagodnych zimach coraz liczniej również w Niemczech.

Rybitwa popielata to rekordzista migracji; potrafi pokonać nawet do około 90 tysięcy kilometrów rocznie, przemierzając się z Arktyki do Antarktydy. Jej roczna pętla należy do najdłuższych znanych w świecie zwierząt.

ZAGROŻENIA

Podróż jest wymagająca. Wyczerpane zwierzęta nierzadko giną podczas lotu albo nie znajdują odpowiedniej ilości pokarmu przy postojach. Groźne są dla nich także linie energetyczne i przeszkody, z którymi mogą się zderzyć, na przykład wysokie budynki i szklane fasady. W miastach szczególnie zdradliwe bywają przeszklone elewacje i wiaty przystanków, ponieważ są one dla ptaków niewidoczne. Spadek liczby siedlisk – na przykład w wyniku osuszania mokradeł – dodatkowo utrudnia odpoczynek i żerowanie. Każdy utracony fragment mokradła to mniej miejsc na „doładowanie baterii” w drodze. Niestety, w wielu krajach na zwierzęta te wciąż się poluje – w rejonie Morza Śródziemnego nadal dochodzi do nielegalnego ich zabijania, choć lokalne działania ochronne stopniowo ograniczają skalę problemu.

POMOC

Wydawać się może, że nie mamy wpływu na ptasie wędrówki, jednak w rzeczywistości wiele zależy od nas.

Zachowujemy łąki, mokradła i zadrzewienia, które stanowią dla tych zwierząt miejsca odpoczynku i żerowania. Nawet niewielkie oczko wodne czy pas krzewów może stać się „stacją benzynową” na ptasim szlaku.

Ograniczamy zanieczyszczenie środowiska, zwłaszcza wód – nie wyrzucamy śmieci w miejscach niedozwolonych. Na budynkach i wiatkach warto stosować gęste markery lub wzory antykolizyjne, aby zwierzęta mogły je dostrzec z daleka.

Edukujemy innych o potrzebie ochrony ptaków i ich siedlisk, włączamy się w działania ekologiczne. W Polsce organizowane są też akcje obserwacji przelotów, podczas których każdy może policzyć osobniki w danym stadzie – to nie tylko świetna zabawa, ale i pomoc naukowcom. Do wspólnego liczenia zaprasza między innymi jesienny EuroBirdwatch.

POTĘGA NATURY

Jesienne migracje pokazują determinację i siłę zwierząt walczących o przetrwanie. Długi lot to dla ptaków niewyobrażalny wysiłek, ale też jedyny dostępny im sposób, aby znaleźć miejsce, gdzie mogą spokojnie przetrwać zimę. Obserwując klucze żurawi albo odlatujące bociany, jesteśmy świadkami jednego z największych cudów przyrody. Zachwyćmy się tym! Każdy odlot to precyzyjnie zaplanowana strategia, w której instynkt spotyka się z doświadczeniem stada.

Katarzyna
Szakowska

www.ekostraz.pl





BEZPIECZNE INWESTYCJE W ZŁOTO Z GOLDENMARK

Inwestowanie w złoto wymaga nie tylko wiedzy, ale też zaufanego partnera. Goldenmark, jako jeden z liderów branży, zapewnia Ci jedno i drugie. Jako podmiot wpisany do rejestru NBP zapewniamy pełną transparentność i bezpieczeństwo każdej transakcji.

Odwiedź jeden z naszych salonów, porozmawiaj z ekspertami i zapoznaj się z ofertą na miejscu. Służymy wiedzą i zapewnimy Ci wsparcie na każdym etapie inwestycji.

